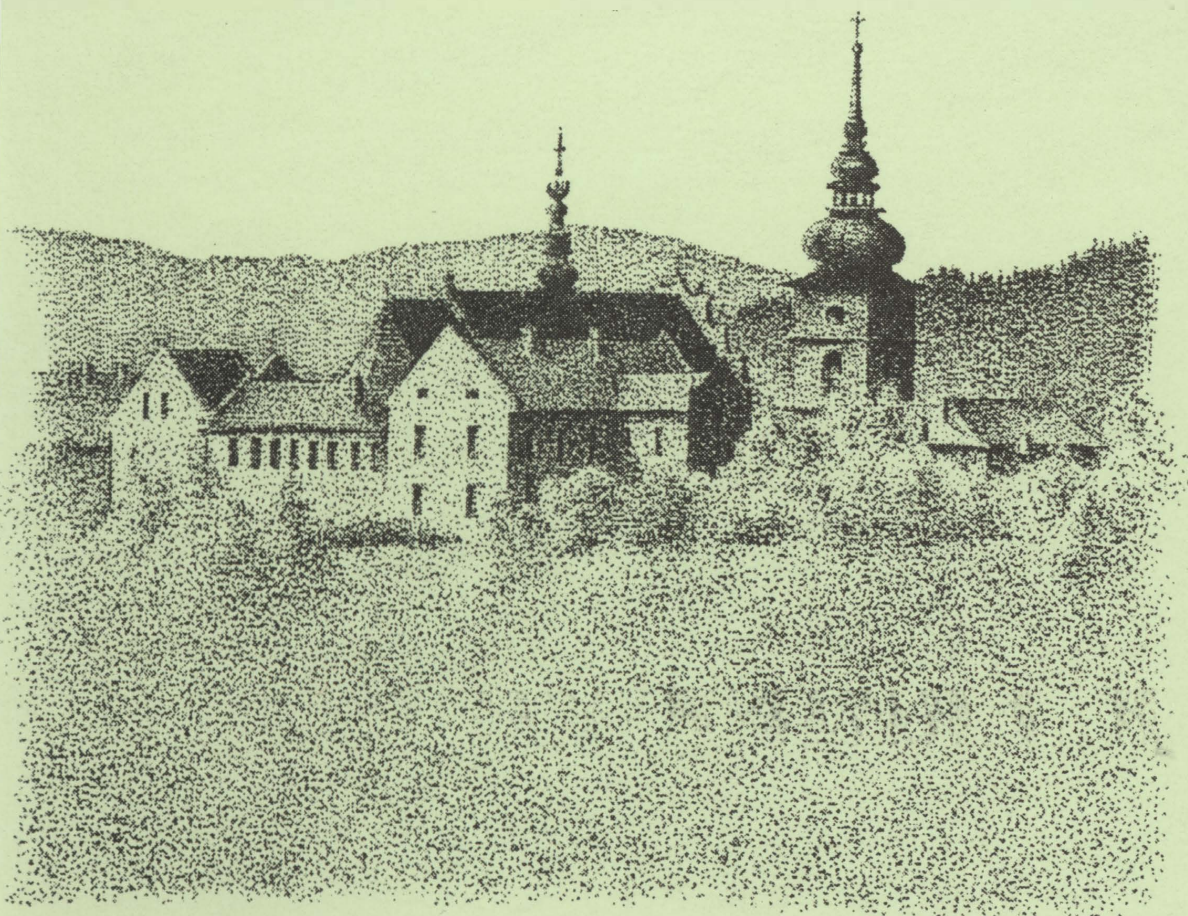


Katolickie Stowarzyszenie
"Civitas Christiana"
Oddział w Nowym Sączu

ISSN 1232-5910

ALMANACH

SĄDECKI



R. VIII
NR 1 (26)



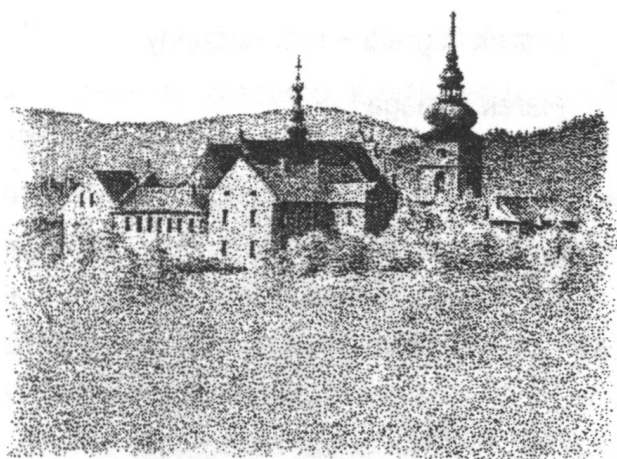
*Katolickie Stowarzyszenie
"Civitas Christiana"
Oddział w Nowym Sączu*

ALMANACH

SĄDECKI



BP NS Region



Nowy Sącz 1999



Almanach Sądecki (kwartalnik)
Wydawnictwo Katolickiego Stowarzyszenia
„Civitas Christiana” w Nowym Sączu
33-300 Nowy Sącz
ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3
tel. (018) 443 81 52

Redakcja: Leszek Migrała – red. naczelny
Marek Basiaga
Stanisław Pażucha

Projekt okładki: Barbara Magierowa

Druk: S.C. „BAAD”
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. (018) 441 28 25

Jacek Zaremba

KSIĘZNA - BŁOGOSŁAWIONA - SWIĘTA

21 września 1291 roku wśród starszadeckich zakonnic rozniosła się wieść, że **Kinga** zaniemogła. Nie pełniła w klasztorze żadnych funkcji, jak to było wówczas w zwyczaju. Regułą bywało bowiem, że fundator piastował w nim jeśli nie najważniejszą, to przynajmniej jedną z najwyższych godności. Tymczasem ona sama przez cały czas pobytu w konwencie, choć energicznie zarządzała klasztorowymi ziemiami, była tylko jedną z wielu sióstr. Sama podlegała ksieni, jako zwyczajna "*soror sub ordine Sancti Francisci divinis mancipata obsequiis*" (siostra pod regułą św. Franciszka, obowiązana do służby Bożej). Niektóre dokumenty (już po obłóczynach, które nastąpiły w 1289 roku) podpisywała jako "*pokorna służebnica Chrystusa pod habitem św. Franciszka*", albo "*siostra zakonu św. Klary*". Jednak jej królewskie pochodzenie i piastowana przez szereg lat książęca władza, a także przykładne, pełne wyrzeczeń i umartwień zakonne życie z pewnością wyróżniały ją spośród pozostałych zakonnic.

Na co Kinga zachorowała - nie wiadomo. Kronikarze piszą tylko o "*ciężkiej chorobie*", która przyniosła jej "*ogrom cierpień, których język ludzki nie byłby w stanie wypowiedzieć*", podkreślając jednocześnie "*poddanie woli Bożej, spokój i pogodę ducha, z jaką owe cierpienia znosiła*". Przez kilka miesięcy jakie jej pozostały, codziennie uczestniczyła w mszy św. odprawianej w jej celi, a gdy choroba łagodniała, natychmiast zabierała się do pracy, którą mogła wykonywać leżąc, a więc do szycia ubrań i bielizny dla biednych. Podobno miewała wizje, w trakcie których pojawiali się jej święci, których szczególnie czciła: św. Jan Chrzciciel, św. Jan Ewangelista, św. Franciszek, a nawet Matka Boża, którą ujrzała w dniu swojej śmierci.



Bł. Kinga. Olej na desce. Grażyna Petryszak

Nastąpiło to 24 lipca 1292 roku. Miała wówczas 58 lat. **Stanisław Teolog**, przypuszczalnie franciszkański zakonnik, autor *Życia i cudów św. Kingi* pisze, że kilka zakonnic, jakiś żebrak imieniem **Pawlik** i jeden z wiślickich kanoników widzieli jej duszę unoszoną do nieba.

Kinga umarła w opinii świętości. Dla współczesnych była nie tylko niegdysiejszą świecką władczynią tych ziem, fundatorką klasztoru, energiczną administratorką należących do niego dóbr, ale przede wszystkim pełną chrześcijańskich cnót osobą oddaną Bogu. Jako prosta zakonnica spełniała wszystkie nakazane regułą obowiązki, dodając jeszcze do nich podejmowane z własnej inicjatywy posty, umartwienia i dzieła miłosierdzia. Jej śmierć z pewnością więc odbiła się szerokim echem również wśród mieszkańców Starego Sącza i otaczających go wiosek, którym Kinga niejednokrotnie spieszyła z pomocą materialną i duchową.

Kult Kingi rozpoczął się więc natychmiast po jej śmierci i trwał przez siedem wieków, aż do współczesnych nam czasów. Warto też dodać, że lud niezbyt wyznający się w subtelnościach kościelnego prawa nigdy nie nazywał jej błogosławioną. Dla niego zawsze była świętą.

Na próżno usiłowałibyśmy wskazać dziś miejsce pierwotnego grobu Kingi. Wiemy, że znajdował się on pod posadzką kaplicy połączonej z kościołem, tuż przy oknie, przy którym zakonnice przyjmowały komunię św. Na kamiennej płycie nakrywającej grób ponoć bez przerwy paliły się świece i leżały kwiaty przynieszone przez okoliczną ludność, która coraz częściej i coraz liczniej pielgrzymowała do starosądeckiego klasztoru. Cześć oddawaną zmarłej potęgowały liczne cuda, jakie wydarzały się przy grobie. Według Stanisława Teologa, w ciągu 37 lat od jej śmierci, wskrzesiła 80 zmarłych, 60 ślepych przywróciła wzrok, 15 jeńców cudownie wyzwoliła z niewoli oraz uzdrowiła 700 chorych. Sława nowej świętej zataczała coraz szersze kręgi.

Jednak budynki wzniesione staraniem Kingi dawno już nie istnieją, zniszczone pożarem gdzieś w końcu XV wieku. Sto lat później, gdy konwent wizytował kardynał **Jerzy Radziwiłł**, w ich miejscu stał szereg drewnianych domków służących za pomieszczenia mieszkalne, refektarz, infirmeria i zabudowania gospodarcze. Murowany był tylko kościół i mur klasztorny. Na polecenie kardynała w r. 1604 rozpoczęto budowę murowanego gmachu - tego, który służy zakonnicom do dzisiaj. W ten sposób ostatecznie zatarto istniejące być może wtedy jeszcze pozostałości pierwotnego założenia. Zmieniająca się przez stulecia tradycja wskazująca miejsca, gdzie Kinga zmarła, lub gdzie została pochowana, nie ma żadnych podstaw.

Jak informują zachowane źródła historyczne, w wyniku przebudowy nakazanej

przez kardynała Radziwiłła, dawny grób Kingi usunięto pozostawiając część przylegającą do ściany. Przy niej wykonano sklepienie tworzące grobową niszę i umieszczono w niej trumienkę z relikwiami Kingi. W 1603 r. przełożono je do srebrnej trumienki ufundowanej przez biskupa krakowskiego **Bernarda Maciejowskiego** i umieszczono nad mensą ołtarzową, poniżej figury Kingi w ołtarzu zakonnej kaplicy. Obok trumienki stały srebrne relikwiarze w kształcie ręki, wieży oraz srebrna puszka z czaszką.

Z okazji sześćsetnej rocznicy śmierci Kingi, rodzina **Stadnickich** w Nawojowej ufundowała nową trumienkę na jej relikwie. Wykonał ją krakowski złotnik **Władysław Glixelli** według projektu **Józefa Łepkowskiego**. Widnieją na niej inskrypcje: "*Dnia 24 lipca 1292 r. zasnęła w Panu w Starym Sączu ŚP Kinga, Błogosławiona Kunegunda, Księżna Polska, Pani Sądecka, Założycielka*" oraz "*W 600 rocznicę śmierci Błogosławionej Kunegundy ofiarował ten relikwiarz klasztorowi PP Klarysek w Starym Sączu Edward Hr. Stadnicki, Członek Izby Wyższej R.P. w Austrii*". Przełożenia relikwii dokonał kard. **Albin Dunajewski** na podstawie delegacji bpa tarnowskiego **Ignacego Łobosa** 23 lipca 1892. Dodajmy, że w związku z odnowieniem relikwiarza z fundacji biskupa **Jerzego Ablewicza**, umieszczono na nim trzeci napis: "*W hołdzie błogosławionej Kunegundzie, Jerzy Ablewicz BSP Tamowski. Rok Święty 1975. Lavare pedes*".

Jak już wspomniano, najdawniejsze informacje o życiu i okresie bezpośrednio po śmierci Kingi zawdzięczamy franciszkańskiemu zakonnikowi, nazwanemu w jednym z późniejszych odpisów jego dzieła — Stanisławem Teologiem. Był to najprawdopodobniej franciszkanin, być może spowiednik zakonnic, na co wskazywałaby dość dokładna znajomość franciszkańskiej reguły. Jego życiorys *Życie i cuda Świętej Kingi Księżny Krakowskiej* powstał gdzieś między 1317 a 1329 rokiem, a więc stosunkowo niedawno po jej śmierci. Czy spisywał go sięgając do własnych wspomnień - nie wiemy. Zawarł w nim natomiast wiadomości uzyskane od "*ludzi wiarygodnych*", najpewniej żyjących jeszcze wtedy zakonnic. Posiłkował się także jakimiś klasztorными zapiskami, niestety nie dochowanymi do dziś. Jego dzieło *Vita et miracula* należy więc uważać za pierwszy materialny objaw kultu Kingi, które posłuży potem wielu popularyzatorom jej postaci i zasług przed ludźmi i Bogiem.

Swego rodzaju uzupełnieniem dziełka Stanisława Teologa są *Cuda Świętej Kingi*, stanowiące ich spis za lata 1307-1312. Nieznany autor, pisząc je, niewątpliwie dokonał wyciągu z klasztornych zapisków, podkreślając, że Chrystus wielkimi i licznymi cudami stwierdza bez przerwy jej świętość.

Jednak najgłośniejszym biografem starosądeckiej klaryski był bez wątpienia

Jan Długosz. Ten najznakomitszy średniowieczny dziejopis był jej gorącym czcicielem. *Żywot błogostawionej Kunegundy*, napisany w latach 1471-1483, jest pochwalnym hymnem ku jej czci, a także głosem człowieka zawiedzionego brakiem jakichkolwiek starań o beatyfikację. Świadczą o tym choćby gorzkie słowa Długosza: *"Dziwuję się bardzo i frasuję, że białogłowa tak zacna, tak wysoka, tak święta, która przez wielkie prace i poty swoje wiele dobrego Polakom sprawiła, jeszcze nic przystojnego za swe cnoty i zasługi u nich nie odniosła..."*. Swe pretensje Długosz adresuje głównie do krakowskich biskupów, którzy mogli i powinni już dawno podjąć próby wyniesienia Kingi na ołtarze, a przynajmniej uczcić podniesieniem jej szczątków z pierwotnego, zaniedbanego grobu. Dodajmy, że rękopis dzieła krakowskiego historyka od niemal pięciuset lat (choć prawda, że z przerwami) znajduje się w posiadaniu starosądeckich klarysek.

Pierwszą próbę podjął w 1514 r. prymas **Jan Łaski**, który zabiegając w Rzymie o kanonizację królewicza **Kazimierza Jagiellończyka** zaproponował królowi i senatorom podjęcie starań o beatyfikację Kingi, **Jana Kantego**, **Jacka Odrowąża** i **Szymona z Lipnicy**. Nic jednak nie wiemy, aby apel prymasa odniósł jakikolwiek skutek.

Kolejnej próby zamierzał dokonać kardynał Jerzy Radziwiłł, żywiący szczególną cześć do Kingi, wybierający się w 1600 r. do Rzymu. Przeszkodziła mu w tym jednak śmierć.

Dopiero w 1628 r. synod piotrkowski wysłał stosowną petycję do Rzymu. Również **Zygmunt III** napisał w tej sprawie list do papieża **Urbana VIII**, pisząc, że kult bł. Kingi ma charakter odwieczny, a przy jej grobie działy się i ciągle dzieją się cuda. Do papieża zwrócił się także biskup **Marcin Szyszkowski** i za jego pośrednictwem starosądeckie klaryski. Nie czekając na odpowiedź, biskup Szyszkowski polecił zebranie koniecznych materiałów, które wkrótce przesłał do Rzymu. Tam jednak nie uznano ich za wystarczające, toteż rok później przystąpiono do ponownych prac. Protokoły te, zachowane do dzisiejszego dnia, zawierają zeznania 84 zaprzysiężonych świadków, których pytano o dawność kultu Kingi oraz cudowne wydarzenia dziejące się przy jej grobie. Jednak i ten materiał nie zadowolił rzymskiej kurii

Kolejnych prób dokonywali kolejni królowie - **Władysław IV** i **Jan Kazimierz**. Jednak dopiero w 1669 Kongregacja Obrzędów zezwoliła na otwarcie procesu beatyfikacyjnego. Niestety, w tym samym roku zmarł papież **Klemens IX** i sprawa znowu poszła w odwłokę.

Dopiero **Jan III Sobieski** miał więcej szczęścia. Opromieniony sławą obrońcy chrześcijaństwa, miał w Rzymie znacznie silniejszą pozycję niż jego poprzednicy.

W 1683 biskup **Jan Małachowski** i biskup **Mikołaj Oborski** otrzymali od kurii polecenie rozpoczęcia prac nad zebraniem wiadomości o życiu Kingi i jej pośmiertnym kulcie. Komisja przesłuchiwała 49 świadków, przebadła źródła pisane, dokonała opisu relikwii i grobu oraz istniejących przedmiotów kultu. Po czteroletniej pracy sporządzono protokół i dołączono do niego wszystkie wymagane dokumenty. Efektem było zatwierdzenie opinii bpa Oborskiego o starożytności kultu Kingi przez Kongregację Obrzędów 10 czerwca 1690. Dzień później papież **Aleksander VIII** podpisał dokumenty Kongregacji Obrzędów z 10 czerwca, co równało się beatyfikacji Kingi. 24 lipca został uznany za dzień poświęcony czci błogosławionej.

Tak dokonał się pierwszy krok. Na kolejny czciciele bł. Kingi czekali trzysta lat. Ale nie czekali bezczynnie. Na skutek kolejnych próśb, w 1733 r. rozpoczęto proces kanonizacyjny. Niestety, przerwały go rozbiory Polski. Dopiero w 1901 r. biskup **Leon Wałęga**, obierając bł. Kingę za patronkę tarnowskiej diecezji, podjął w Rzymie zabiegi o uznanie jej za świętą. W 1905 r. papież **Pius X** wydał zgodę na rozpoczęcie stosownych prac przygotowawczych. Do Rzymu szły kolejno wysyłane protokoły, zeznania i materiały, a kolejni biskupi i prymasi nieustannie zabiegali w Stolicy Apostolskiej o przyspieszenie konkretnych decyzji. Jednak czas uciekał, wreszcie światem wstrząsnęła II wojna światowa.

W trudnych dla polskiego Kościoła powojennych latach nie zaprzestano starań – o kanonizację bł. Kingi zabiegał biskup **Jan Stepa**, biskup Jerzy Ablewicz, wreszcie biskup **Józef Życiński**. W r. 1990 sprawy kanonizacji przejęli franciszkanie. Obowiązki postulatora w Rzymie objął o. **Ambroży Sanna**, a w Polsce o. **Izydor Borkiewicz**. W sierpniu 1993 r. bp Józef Życiński powołał nową komisję historyczną. Zakończyła ona swoje prace 26 maja 1994 roku, po czym akta zostały przesłane do watykańskiej Kongregacji do Spraw Świętych. 3 lipca 1998 r. w Rzymie ogłoszono dekret otwierający drogę do zaliczenia bł. Kingi w poczet świętych.

Brakowało jeszcze jednej tylko rzeczy - potwierdzenia cudu zaistniałego wskutek jej wstawiennictwa. Ale i on się zdarzył - i to nie przed setkami lat, a we współczesnych nam czasach. W 1992 roku do nowosądeckiego szpitala przywieziono pięcioletnią wówczas **Faustynę D.** z Przysietnicy. Lekarze rozpoznali ciężkie ropne zapalenie otrzewnej. Podjęto decyzję o operacji, choć wobec ciężkiego stanu dziecka, sprawa wydawała się beznadziejna. Po dwóch dniach dziecko wyzdrowiało. Dr **Aleksander Piwowarczyk** wspominał: *"Dziwiłem się z kolegą, doktorem Andrzejem Kohmannem, że pacjentka w jakiś fenomenalny sposób uniknęła typowych dla takiego stanu powikłań. Nie miałem świadomości, że matka, kobieta bardzo racjo-*

nalna, poprosiła wtedy siostry klaryski o modły do bł. Kingi. Wciąż podchodzę do tej sprawy sceptycznie, bo taka jest rola chirurga, który musi przede wszystkim liczyć się z faktami i nie powinien liczyć na cuda. Jednak wnioski wynikające z analizy dokumentacji choroby, rozpoznania, przebiegu leczenia i stanu zdrowia po wyleczeniu są w tym przypadku racjonalnie niewytłumaczalne".

16 czerwca na polach położonych u stóp starosądeckiego klasztoru papież **Jan Paweł II** ogłosi bł. Kingę świętą. Wypełni się również jego pragnienie, które wypowiedział w Starym Sączu 24 lipca 1966 roku: *"Słyszeliśmy modlitwę o kanonizację bł. Kingi. Ta modlitwa jest częścią wielkiej całości, kiedy wkraczamy w drugie tysiąclecie Chrztu Polski. (...) Jako biskup krakowski mam obowiązek zabrać głos ku czci tej, która tak bardzo zabiegała o wyniesienie na ołtarze biskupa, męczennika krakowskiego, św. Stanisława. (...) To tutaj czujemy, po prawie siedmiu wiekach. Takie bogactwo życia, w jakiegokolwiek znalazłoby się epoce, nazywa się świętością"*.

16 czerwca, po 33 latach od tamtego wydarzenia, papież Jan Paweł II wypełni pragnienia arcybiskupa Karola Wojtyły wypowiadając na starosądeckich błoniach słowa:

"Na chwałę Świętej i nierozdzielnej Trójcy, dla wywyższenia katolickiej wiary i wzrostu chrześcijańskiego życia, na mocy władzy naszego Pana Jezusa Chrystusa i Świętych Apostołów Piotra i Pawła, a także Naszej, po uprzednim dojrzałym namyśle, po licznych modlitwach i za radą wielu naszych Braci w biskupstwie orzekamy i stwierdzamy, że Błogosławiona Kinga jest Świętą i wpisujemy Ją do Katalogu Świętych polecając, aby odbierała Ona cześć jako Święta w całym Kościele.

*W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.
Amen, Amen, Amen"*.

STARY SĄCZ – RYS HISTORYCZNY

Najstarsze zapisy dotyczące grodu sądeckiego sięgają 1224 r. Był to wówczas gród kasztelański - siedziba urzędnika sprawującego władzę w imieniu panującego w obrębie okręgu kasztelańskiego, umiejscawiana przez archeologów bądź w Podegrodziu, bądź w Biegonicach. Niestety, ponieważ nie zachował się dokument lokacyjny nie znana jest dokładna data założenia Sącza (Starego). Z badań historycznych wynika jednak, że akt ten miał miejsce w okresie sprawowania rządów w Małopolsce przez Bolesława Wstydliwego, pomiędzy rokiem 1257 a 1273. Pierwsza z wymienionych dat wiąże się z przekazaniem przez księcia ziemi sądeckiej swej małżonce – Kindze, druga z potwierdzeniem zwolnienia mieszczan sądeckich od ceł i myt na obszarze księstwa krakowskiego i sandomierskiego. Lokacji Sącza dokonano najprawdopodobniej na prawie magdeburskim – takim samym, które niewiele tylko wcześniej otrzymał Kraków w 1257 r. Z początkami miasta łączy się istotny fakt utworzenia parafii i budowa kościoła św. Trójcy, który powstał wraz z klasztorem Klarysek na mocy fundacji Kingi z dnia 6 lipca 1280 r. Nieco wcześniej ufundowany został, nie istniejący dzisiaj, franciszkański klasztor męski wraz z kościołem konwenckim w północno-zachodniej części miasta. Krótkotrwały najazd tatarski na przełomie 1287 i 1288 r. zapewne nie zniszczył obiektów klasztornych. Dowodzi tego złożenie w klasztorze, w lipcu 1292 r., ciała księżnej Kingi, zmarłej w opinii świętości.

Pomyślne początki miasta rychło zostały przerwane. 8 listopada 1292 r. Wacław II, król czeski, pan ziemi krakowskiej i sandomierskiej, wystawił przywilej lokacyjny na utworzenie w pobliżu Sącza miasta, w widłach Dunajca i Kamienicy, nazwanego z czasem Nowym Sączem, groźnego rywala, zdolnego przejąć rolę głównego ośrodka administracyjnego i gospodarczego Sądecczyzny.

Położenie Starego Sącza charakteryzowało się usytuowaniem na ważnym szlaku prowadzącym z Węgier do Polski doliną Popradu. Stwarzało to okazję do pobytów w mieście członkom rodzin panujących, tym bardziej, że intensywności kontaktów gospodarczych sprzyjały przyjazne stosunki pomiędzy Piastami i Andegawenami węgierskimi. Odnotujmy, że w 1320 r. w Starym Sączu oczekiwała swego męża, Karola Roberta, Elżbieta Łokietkówna, a w klasztorze spędziła lata wdowieństwa Jadwiga Łokietkowa, matka Kazimierza Wielkiego, pochowana u klarysek w 1340 r.



Ogólny widok klasztoru. Fot. Bolesław Łazarz

Data graniczną w dziejach miasta był rok 1410. W tym czasie Ścibor ze Ściborzyc, rycerz w służbie Zygmunta Luksemburskiego, króla węgierskiego sprzymierzonego z Krzyżakami, wtargnął z wojskami na ziemię sądecką. Krótkotrwały napad niewiele zaszkodził państwu w obliczu zwycięstwa grunwaldzkiego, ale dla nie posiadającego murów obronnych Starego Sącza był prawdziwą klęską. Miasto zostało spalone tracąc wiele na dotychczasowym znaczeniu. W połowie XVI w. dały znać na Sądecczyźnie wpływy reformacyjne. Obok luteranów i kalwinistów pojawili się arianie. Wpływy innowiercze okazały się zjawiskiem przejściowym, przy czym rekatolizacja dokonała się do połowy XVII w. Zapowiedzią trudnych dla Starego Sącza czasów stał się najazd szwedzki w 1655 r. Miasto uległo wtedy częściowemu spaleniu, ale rezerwy musiały być jeszcze znaczne skoro odbudowa nastąpiła szybko, a zaludnienie wzrosło. Stary Sącz liczył wówczas około 1200 mieszkańców, a z początkiem XVIII w. miał ich już sporo ponad 2000. Chlubnym wydarzeniem tamtej epoki był pięciodniowy pobyt w mieście Jana III Sobieskiego, który wracając z wik-

torii wiedeńskiej spotkał się tutaj z żoną, Marią Kazimierą. Opromieniony sławą pogromcy islamu król prosił Stolicę Apostolską o przyspieszenie beatyfikacji Kingi, która istotnie rychło nastąpiła, dokonana przez papieża Aleksander VIII 11 czerwca 1690 r. Śmierć Jana III Sobieskiego otworzyła w dziejach Rzeczypospolitej etap rządów saskich. Wciągnęły one kraj w rujną wojnę północną i wywołały konflikt wewnętrzny wśród szlachty. Skutki tej polityki boleśnie dotknęły Stary Sącz. Tak jak cały kraj, Sądecczyzna rujnowana była przemarszami i kontrybucjami wojsk własnych i obcych. Na domiar złego w 1710 r. w Małopolsce rozprzestrzeniła się epidemia dżumy, która zbierała śmiertelne żniwo do roku następnego, wyludniając miasto.

W okresie staropolskim Stary Sącz uczestniczył w handlu polsko-węgierskim. Chociaż nie wytworzyła się tutaj wyodrębniona grupa kupców, starosądecczanie utrzymywali rozległe kontakty gospodarcze. Istnienie handlu tranzytowego miało szczególne znaczenie dla klarysek z racji posiadania przez nie prawa pobierania cła. Lokalna wymiana dokonywała się w ramach targów tygodniowych i jarmarków. Najstarsze z nich odbywały się w dniu św. Trójcy, w święto Feliksa i Adaukta, w dniu św. Elżbiety. Obok handlu rozwijało się rzemiosło. Wiadomo, że w połowie XV w. istniał tutaj cech zbiorowy zrzeszający miejscowych rękodzielników. Później wyodrębniły się z niego cechy określonej specjalności: tkacki, szewski, kuśnierski, kowalski, rzeźniczy, krawiecki, piekarski. Po okresie pomyślnej egzystencji nastąpiły wspomniane trudne czasy na przełomie XVII i XVIII stulecia. Powolna odbudowa potencjału gospodarczego nastąpiła w okresie panowania Augusta III. W połowie XVIII w. Stary Sącz odzyskał wówczas pozycję drugiego ośrodka miejskiego na Sądecczyźnie i zachował znaczenie istotnego centrum kultu religijnego na południu Polski.

Ostatnie lata przedrozbiorowe zaznaczyły się ponownym regresem. Wynikał on z włączenia się Sądecczyzny do konfederacji barskiej zwalczającej politykę króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Sądecczyzna znów stała się widownią przemarszów oddziałów konfederackich i zwalczających ich rosyjskich. Do zahamowania działań barszczyzn przyczyniła się częściowo na tym terenie Austria. W 1769 r. dwór wiedeński, pod pozorem wprowadzenia kordonu sanitarnego, zagrabił starostwo spiskie, a w 1770 starostwo nowotarskie, czorsztyńskie i południową część sądeckiego. 24 listopada zaborca ogłosił akt wcielenia ziemi sądeckiej do Królestwa Węgierskiego. Rychło i ten stan rzeczy uległ zmianie. W wyniku I rozbioru Polski, w sierpniu 1772 r. Austria zagarnęła południową część województwa krakowskiego i sandomierskiego oraz województwo ruskie, nazywając te obszary Galicją i Lodomerią. Sądecczyzna włączona została do nowej prowincji już we wrześniu 1772 r.

Najbardziej fundamentalne zmiany nastąpiły w Starym Sączu w końcu XVIII w. w stosunkach kościelnych. Na skutek polityki państwowej nad klaryskami zawisła groźba likwidacji konwentu starosądeckiego, który od 500 lat był właścicielem miasta i w tym czasie 54 wsi. Ostatecznie nie doszło do tego. W rezultacie usilnych próśb klarysek uzyskały one przywrócenie istnienia zakonu pod warunkiem prowadzenia i utrzymania szkoły dla dziewcząt.

Starosądeczanie brali czynny udział w działalności niepodległościowej, począwszy od powstania kościuszkowskiego poprzez powstanie listopadowe, Wiosnę Ludów i powstanie styczniowe. W 1846 r. w nieudanym patriotycznym zrywie skierowanym przeciwko Austrii brali udział księża rodem ze Starego Sącza – Józef Kmietowicz i Michał Głowacki. Po aresztowaniu ks. Głowacki nie przeżył brutalnego traktowania – zmarł w szpitalu wojskowym w Nowym Sączu. Ks. Kmietowicz skazany został początkowo na karę śmierci przez powieszenie zamienioną na 20 lat więzienia. Do czasu amnestii w wyniku Wiosny Ludów wikary spędził kilkanaście miesięcy w kazamatach Kufsteinu i Spielbergu.

Na skutek przegranej wojny włoskiej, a następnie po klęsce w wojnie z Prusami, monarchia habsburska przyjęła politykę liberalizacji w wyniku czego Galicja uzyskała autonomię, spolszczenie urzędów, sądownictwa i szkolnictwa. W Starym Sączu znakiem czasu był wniosek burmistrza Michała Kmietowicza, na podstawie którego Rada Miejska zmieniła w herbie miasta i szkoły napisy niemieckie na polskie. W tamtym czasie miasto zaczęło zmieniać swój wygląd. Wybrukowano ulice i place, założono Seminarium Nauczycielskie oraz szkołę szewską; ustanowiono też urząd podatkowy. Korzystną okolicznością było wybudowanie w 1876 r. sądeckiego odcinka linii kolejowej Tarnów – Leluchów. Sprzyjało to rozwojowi miasta, zwiększało szansę zatrudnienia w nowosądeckich Warsztatach Kolejowych. Rozwój miasta zależał od jego możliwości finansowych. Stary Sącz, będąc typowym miasteczkiem galicyjskim, nie posiadał przemysłu. Głównym źródłem dochodu miejskiego była propinacja – prawo do wyszynku i sprzedaży alkoholu, dzierżawione często miejscowym Żydom. Szczególnym rysem życia gospodarczego były szeroko znane jarmarki. Głównym przedmiotem handlu były konie, bydło, a także asortyment rzemieślniczy wraz z tutejszymi specjalnościami: wyrobami szewskimi i kuśnierskimi.

W okresie autonomicznym nastąpił wyraźny wzrost liczby ludności Starego Sącza, w którym w 1900 r. żyło około 4500 mieszkańców. Mimo, że codzienne utrzymanie nie było drogie, to jednak w mieście zamieszkiwało wielu biednych ludzi. Ucieczką od nędzy stawała się emigracja. Najczęściej udawano się do Ameryki gdzie w II połowie XIX w. wyjechało kilkaset osób.

Wybuch I wojny światowej skierował główny nurt życia na nowe tory. Obudzone nadzieje na odzyskanie niepodległości spowodowały zgłaszanie się patriotycznej młodzieży starosądeckiej do tworzonych za zgodą Austro-Węgier formacji polskich, pod komendę Józefa Piłsudskiego. Jednocześnie tocząca się wojna była przyczyną poważnych trudności aprowizacyjnych. *„Na potrzeby wojska zabrano dzwony kościelne i klasztorne. [...] Od 15 stycznia 1917 r. przestano oświetlać rynek i ulice miasta z powodu braku nafty. Z braku opału i odzieży zamknięto na parę dni szkołę męską. W mieście zaczynał się głód”*.

Klęska wszystkich trzech mocarstw rozbiorowych otworzyła Polakom drogę do niepodległego państwa. Już w suwerennej ojczyźnie podjęto dwie ważne dla Starego Sącza inwestycje: budowę elektrowni oraz powszechnej szkoły dla młodzieży męskiej. Pierwszy z projektów zrealizowany został w latach 1928-30, drugi w roku 1931. Życie gospodarcze, podobnie jak w okresie poprzednim, opierało się na rzemiośle popartym istnieniem kilku niewielkich zakładów przemysłowych. Stopniowo coraz większy wpływ na strukturę zatrudnienia wywierał Nowy Sącz, a przede wszystkim powstałe tam już w 1876 r. Warsztaty Kolejowe. Spośród ludności odrębnej etnicznie największy odsetek stanowili Żydzi, tworzący społeczność około 500-osobową, która aktywizowała się w sposób najbardziej widoczny w handlu.

Agresja niemiecka na Polskę we wrześniu 1939 r. spowodowała bezpośrednie zagrożenie Sądecczyzny. 5 września po południu niemiecka kolumna 2. dywizji górskiej weszła do Starego Sącza. Od grudnia 1939 r. do sierpnia 1944 r. urząd burmistrza miasta sprawował Fryderyk Spiess – pastor ewangelicki. Niemcy zorganizowali na Sądecczyźnie aparat policyjny, którego trzon stanowiła placówka gestapo, na czele której od grudnia 1939 r. do sierpnia 1943 r. stał Heinrich Hamann – „kat nr 1 Sądecczyzny”. W samym Starym Sączu gorliwą zbrodniczą służalczą zapisał się przybyły z Teplic (Czechy) Franciszek Lawitschka. Miasto wraz z całą Sądecczyzną dotknęły wszystkie formy represji i terroru. Od września obowiązywała godzina policyjna, zamknięte zostały szkoły średnie i instytucje kulturalne; okupant stosował formy odpowiedzialności zbiorowej; wprowadzony został system kartkowy, a ludność rolniczą obciążono rygorystycznie ściąganymi kontyngentami.

W szczytowym okresie holocaustu, wiosną 1942 r. utworzone zostało w Starym Sączu getto, w którym przebywało około 1000 Żydów. W połowie sierpnia zostało ono zlikwidowane. Starych i chorych hitlerowcy rozstrzelali w dzielnicy Piaski nad Popradem, pozostałych wywieźli do Nowego Sącza, a stamtąd deportowali do obozu zagłady w Bełżcu. Pomimo najsurowszych kar ze strony okupanta za ratunek niesiony Żydom ludność polska spieszyła z pomocą doraźną i stałą. Na Sądecczyźnie znanych jest wiele przypadków ukrywania Żydów oraz przerzutu ich przez granicę na Słowację.

Sądeckczyzna z racji swego nadgranicznego położenia odgrywała w okresie II wojny światowej szczególną rolę w organizowaniu akcji przerzutowej i kurierskiej. Przez Stary Sącz przechodziły trasy przerzutu i łączności w kierunku na Muszynę i Piwniczną, a stamtąd dalej na Słowację i Węgry. Jednocześnie w regionie rodziła się konspiracja zbrojna, która doprowadziła do odtworzenia 1. pułku strzelców podhalańskich. Inny nurt tej działalności stanowiła rozległa praca nauczycielska w zakresie tajnego nauczania.

22 stycznia 1945 r., po wycofaniu się Niemców, do Starego Sącza wkroczył patrol Armii Czerwonej. Rozpoczął się nowy okres niedemokratycznych i wasalnych rządów Polski Ludowej. Głównym elementem życia politycznego w skali całego kraju stawała się nieliczna początkowo Polska Partia Robotnicza, od grudnia 1948 r. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Wzmocnienie PPR miało dokonać się w wyniku realizacji radykalnego programu na czele z reformą rolną i nacjonalizacją przemysłu. W Starym Sączu działania te nie miały w praktyce większych skutków. Ziemi do podziału było niewiele, a zakładów które podlegałyby nacjonalizacji wcale.

W rezultacie sfalszowanych w skali kraju wyników wyborczych radykalna lewica objęła władzę. W Starym Sączu, tak jak i zresztą w wielu innych miastach, pilną pookupacyjną koniecznością była likwidacja zniszczeń wojennych i poprawa podstawowej infrastruktury komunalnej. W mieście powstało kilka niewielkich zakładów przemysłowych, ale jednocześnie zlikwidowano prywatny handel i zredukowano do minimum indywidualne rzemiosło. Utrzymała się natomiast tradycja starosądeckich jarmarków i targów końskich.

Upływ czasu, a wraz z nim zachodzące zmiany nie zakłóciły średniowiecznego układu urbanistycznego Starego Sącza. W obrębie kompleksu miejskiego zwracają uwagę dominujące obiekty: kościół parafialny i klasztoru Klarysek. Obecny kształt kościoła św. Elżbiety uformowany został na początku XV w. Wewnątrz znajduje się między innymi zabytkowa figura Chrystusa Zmartwychwstałego z około 1500 r. oraz XVII-wieczna snycerka. Jeszcze wspanialszym skarbem kultury polskiej jest zespół klasztorny z kościołem św. Trójcy. Obecny budynek klasztorny powstał pod kierunkiem Jana de Simoni w XVII w., ale fragmenty kościoła, konsekrowanego w 1322 r., sięgają XIII stulecia. Oprócz relikwii bł. Kingi i zachowanych po niej pamiątek, przechowuje się tutaj między innymi iluminowane kodeksy, w tym XIII-wieczne graduaty, rękopis Długoszewego *Vita s. Cunegundis*, dzieła sztuki plastycznej na czele z obrazem *Misericordia Domini*. Dodajmy, że w bibliotece odnaleziono najstarszy zabytek muzyki polskiej, wielogłosowy conductus *Omnia beneficia* z około 1300 r. W samym kościele znajduje się wybitne dzieło XVII-wiecznej snycerki – ambona w kształcie drzewa Jessego, trzy stiukowe ołtarze wło-

skiego mistrza Baltazara Fontany, a także zabytkowa kropielnica.

Współczesną kontynuacją bogatych tradycji muzycznych Starego Sącza stał się Festiwal Muzyki Dawnej, prezentujący muzykę religijną i świecką średniowiecza, odrodzenia i baroku.

Stary Sącz w swej wielowiekowej historii doznawał różnych losów. Bieżącą trudną dekadę lat dziewięćdziesiątych, już w ramach niepodległej III Rzeczypospolitej, zakończy wydarzenie wyjątkowe. 16 czerwca 1999 r., u podnóża starosądeckiego klasztoru, po 300 latach oczekiwania, papież Jan Paweł II dokona kanonizacji błogosławionej Kingi – Pani Ziemi Sądeckiej. Uzasadnienie tego aktu zawiera dekret Kongregacji do Spraw Świętych z dnia 3 lipca 1998 r., w którym czytamy: „[...] *Ojciec Święty uroczyście ogłosił: “[...] u Błogosławionej Kunegundy, czyli Kingi, mniszki z zakonu Świętej Klary, a przedtem Księżnej Krakowskiej i Sandomierskiej, heroiczną cnót teologicznych: wiary, nadziei i miłości Boga i bliźniego, a także związanych z nimi cnót kardynalnych: roztropności, sprawiedliwości, wstrzemięźliwości i męstwa, odnośnie celu, o który idzie w sprawie”*”.

Dekret ten przesądza, że Stary Sącz i cała Ziemia Sądecka doznają historycznego zaszczytu, który obok wymowy religijnej będzie miał znaczenie ogólnokulturowe, pogłębiające związek Sądecczyzny i jej mieszkańców z osobą i programem życia Patronki.

Opracowanie: Wincenty Gawron

PAMIĘTNIK JOZEFA STRUGA "ONGI W LIMANOWSZCZYŹNIE"

PRZEDMOWA

Polska literatura pamiętnikarska pod względem bogactwa ustępuje pierwszeństwa podobno tylko literaturze francuskiej. Ale pamiętnikarze minionych wieków wywodzili się ze szlachty, z warstwy przodującej w społeczeństwie; plebejusze zaczynają pisać swe wspomnienia dopiero w XVIII i XIX w. /J. Kiliński, K. Deczyński/. *Pamiętniki chłopów* wydane w r. 1935 i 1936 spowodowane były przez ankiety Instytutu Gospodarstwa Społecznego; były więc powołane do życia przez "zamówienie społeczne", a nie subiektywną potrzebę wypowiedania się. Taka potrzeba zaistniała w szerokich rozmiarach po drugiej wojnie światowej. I rzecz znamienita, że do pióra wzięli się ludzie nie tylko z wyższym wykształceniem, lecz nawet nie posiadający oficjalnego, formalnego wykształcenia, jednak obdarzeni temperamentem pisarskim z rozległą znajomością życia. A mieli dużo do powiedzenia ludzie, którzy przeżyli dwie wojny i olbrzymie przemiany w ustroju społecznym. Do tych pamiętnikarzy z ludu należy Józef Strug z Lipowego w powiecie limanowskim, małorolny chłop.

Józef Strug urodził się w 1874 r., więc w tym okresie, kiedy synowie chłopscy ruszyli tłumnie do szkół, aby przez wykształcenie wznieść się na wyższy poziom życia i wejść w szeregi warstwy inteligenckiej, w owym czasie materialnie nieźle usytuowanej. Ten prąd ogólny ominął Józefa Struga prawdopodobnie przez krótkowzroczność ojca, który podobnie jak wszyscy ówczesni chłopci nie miał zaufania do warstwy inteligenckiej, nie zawsze chłopom przyjaznej. A przy tym nie miał w swym charakterze tej ofiarności, która skłoniła Katarzynę Szmaciarzową z Poręby

Wielkiej do obciążenia wielkimi długami gospodarstwa, aby tylko dwóm synom bardzo dobrze się zapowiadającym dać wykształcenie średnie w Krakowie. Mam na



Józef Strug – zdjęcie z czasów I wojny światowej

i kulturze w ogólności w powiecie limanowskim. Miał od młodości żyłkę pisarską; pisywał przeważnie pod pseudonimem Piotra Lipowiaka w "Piaście", "Rol" i "Związku Chłopskim". Przy wyższym wykształceniu mógłby wzbogacić literaturę polską dziełem wysokiej wartości.

Pamiętnik tu pokrótce scharakteryzowany jest cennym dokumentem samorodnego talentu pisarskiego chłopca z Limanowszczyzny. Zawiera on prawdziwą kopalnię wiadomości bezcennych dla etnografa i historyka kultury. Pod względem posta-

myśli Stanisława i Franciszka Szmaczarów, którzy wyrosli na chlubę rodzinnej wsi i stanu chłopskiego / Stanisław Smreczyński profesor i Władysław Orkan pisarz/. Józef Strug otrzymał tylko wykształcenie podstawowe i na tej podstawie oparł dalsze samokształcenie z tak dobrym skutkiem, że mu zapewniło przodownictwo umysłowe wśród chłopów całego powiatu. Na jego rozwój umysłowy korzystny wpływ wywarła znajomość z Józefem Bekiem, ojcem późniejszego ministra sanacyjnego. Józef Strug używał swego autorytetu do utorowania drogi postępowi w rolnictwie

wy politycznej ukazuje on swego autora jako bojownika w szeregach Stronnictwa Ludowego, lewicowca, twardo stojącego na gruncie programu swego stronnictwa. Postać tego chłopca, poety, stolarza, weterynarza i pisarza gminnego przy czytaniu jego dzieła staje się coraz bardziej pociągająca i godna poznania przez ludzi wykształconych i ruchowi ludowemu sprzyjających.

Dr Sebastian Flizak

Mszana Dolna, 3 sierpnia 1961 r.

DZIECIŃSTWO AUTORA

Urodziłem się 7 marca 1874 r. w Lipowem koło Limanowej. Mój ojciec miał 2 morgi gruntu. Chodził na zarobek do dworu całą zimę młócić od świtu do nocy za 20 centów, w lecie od wschodu do zachodu słońca za 30, a w żniwa za 40 centów. 16 lipca 1877 r. moją wieś nawiedziło straszne gradobicie; zrobiła się zima. Obite były liście na drzewach, kora na niektórych skaleczona, wyzabijane wszystkie ptaki i zające, nawet kury, które się nie ukryły. Na przeciwległej górze spadły dwa olbrzymie lody. Z daleka przychodzili ludzie i je podziwiali. Lody te długo było widać, nim stopniały. Czy trąba powietrzna skądś je wzięła, ale gdzie w lipcu?

W późniejszym czasie po jednej burzy wyszedłem na zesieczonej łąkę i ujrzałem mnóstwo krasiatych jaszczurek, zwanych salamandrami. U nas takich nigdy nie było. Gdy się tak dziwuję, uderzyło mnie coś w głowę. Patrząc, a to jaszczurka.

Przedtem jeden chłop mi opowiadał, że miał na wierzchu góry kilka fur kamieni, które nazbierał w polu. Gdy przyszła trąba powietrzna, zabrała mu wszystkie. Widział tylko w powietrzu czarny słup unoszący się coraz wyżej i oddalający się na wschód aż zniknął. Nie wierzyłem, a gdy ujrzałem jaszczurki, uwierzyłem, że też trąba powietrzna gdzieś je zabrała i tu spadły z burzą.

Ja w lecie pasalem krowę. Ponieważ miałem nie iść do szkoły, w zimie matka mnie uczyła czytać. Ona w roku 1850 chodziła do szkoły, gdzie uczył organista. Umiała czytać i pisać. Ojciec nosił książkę do kościoła. Znał litery i sylabizował. Wówczas niektórzy w kościele modlili się, trzymając książkę na dół głową.

Uczyłem się czytać Litanię na książce do modlitwy. Znałem litery ale sylabizować nijak nie mogłem. Nie pomogła bitka. Litanię nauczyłem się na pamięć. Dopiero wuj przyniósł od wójta gazetę, dał mi ją i mówi:

- Masz, czytaj !

Tak mnie zaciekało, że od razu głośno przeczytałem całą gazetę. Co tam było, nie wiem, ale mówili:

- O, to prawda!

W dziewiątym roku życia poszedłem do szkoły, a że umiałem dobrze czytać i nie najgorzej pisać, przyjęto mnie do drugiej klasy. Nauka trwała cały dzień z dwugodzinną przerwą południową. Zimy w tym czasie były straszne - dokuczały śniegi, mrozy i zadymki. Z domu wychodziło się o wschodzie słońca, a wracało po zachodzie, toteż uczniowie mieli po 12, 14, a jeden nawet 18 lat.

W szkole były kary. Bili w łapy, targali za uszy, trzeba było stać lub klęczeć.

Raz klęczeliśmy cały tydzień za to, że przybył inspektor, a my się bali i zamiast do szkoły poszliśmy w krzaki.

W południe robiliśmy bitki z Żydami. Raz zbiliśmy jednego z nich. Potem jego ojciec na piętro przyszedł ze skargą i pytał o pana dyrektora, a że były odemknięte drzwi na strych, je mu pokazaliśmy. Gdy wszedł na schody, zamkliśmy drzwi. Żyd wołał i się harnasił. Dyrektor chodził i nie wiedział, co się dzieje, bo zawsze drzwi na strych były zamknięte. Ledwo zmiarkował, wypuścił Żyda i pytał nas, który to tak zrobił, a że nikt się nie odzywał, wszyscy musieli iść klęczeć do sieni z gołymi głowami, a mróz był silny. Poszliśmy, a jeden z nas siedział na ławce. Dyrektor wyciągnął go stamtąd i rzucił na podłogę, ale ów chłopak złapał go za włosy, bo miał długie i targał. Krótka trwała walka i się rozeszli. Potem dyrektor nas zawołał do klasy i posłał po stróża, który poniżej pasa 5 kijów odliczył chłopakowi, ale ten się go nie bał, bo to był jego stryj.

W Limanowej żebraków było 90 /trzecia część mieszkańców/. Mieli i wójta Załubskiego, który nosił 3 ordery. Co piątek chodzili procesją po mieście, bo niektórzy panowie dawali im jałmużnę po cencie. Do tych również należał dyrektor szkoły, więc do niej także wstępowali. Raz tylko przyszło ich 90, a tak to 86, 84 i różnie.

W mojej wsi nie było żebraka. Gdy zmarła gdzie kobieta, to przyszła taka babka, jedna lub dwie i były aż do pogrzebu. Mówiły paciorki. Za to dostawały coś z ubrań po zmarłej. Gdy umarła u nas wujenka, to przyszła babka po prośbie i została do pogrzebu. Służąca przyniosła konewkę wody i namówiła ją, aby podlała pod wóz, gdy będą z umarłą mieć jechać, żeby krowom nie zabrała mleka. Babka tak uczyniła. Za to wuj uderzył ją pięścią w głowę i przewróciła się pod wóz.

Dawniej od zachodu droga z Lipowego wiodła na wprost Siwym Brzegiem, po długiej ławie nad szeroką rzeką i przez bramę, za którą stały budynki plebańskie, stajnie końskie i stodoły, a po drugiej stronie stajnie dla bydła, wozownie i chlewy. Całe to zabudowanie było pod jednym dachem.

Probostwo miało trzy ogrody, a w nich dużo jabłoni. Jeden był przed samymi oknami plebanii, ogrodzony tak, że nikt nie mógł dostać się do niego. Drugi był pod kościołem tak samo zabezpieczony, a trzeci największy tylko od drogi oddzielony sztachetami, a od stodoły i stajni otwarty. W nim trzeba było pilnować jabłek we dnie i w nocy.

Proboszczem był baron Borowski. Żona pewno mu umarła i w jakiś sposób został księdzem. Miał syna, który był kapitanem przy wojsku austriackim w Krakowie, czy Bochni. Ponieważ nie było kolei, na miesięczny urlop przyjeżdżał na koniu ze swoim pucyrem Markiem. Gdy chodziłem do szkoły, to w południe z nim grywaliśmy w karty.

Proboszcz miał i córkę, wielką panią, która stale mieszkała na plebanii. Gdy szliśmy do szkoły, zawsze była w ogrodzie, to nas zawołała, i kazała nam wybierać jabłka na ziemi. Zerwać nie było wolno ani jednego.

Przy plebanii był szpital na 10 ubogich dziadków, którzy obsługiwali kościół, zamiatali, dzwonili, a dwóch po całych dniach rąbało drzewo w drewni. Jesienią, jeden pilnował jabłek we dnie i w nocy, na zmianę.

Gdy budowano kolej przez Limanową, zdaje mi się w roku 1884, to na jednego robotnika wołano:

- *Dudek Józek, furr!*

Dowiedziałem się, że ów Dudek zrobił skrzydła, nie wiem, z czego i przeleciał z góry na górę 10 kilometrów. Wylądował na drzewie i o mało życiem nie przyplącił. Już drugi raz nie próbował.

FOLKLOR W LIMANOWSZCZYŹNIE

Moja chata rodzinna miała może więcej jak 200 lat. Stawiana była na gołej ziemi z grubego, okrągłego drzewa, ścinanego siekierą. Cała jej budowa była rąbana siekierami, wiercona świdrami i zbijana kołkami. Nie znalazłby w niej ani jednego gwoźdźdza. Okna miała maleńkie 50 cm wysokie, nie otwierane, oblepione gliną. Powaly były ułożone z okrągłego drzewa, w środku z otworem na dym, drzwi z desek przybijanych kołkami, umieszczone na drewnianych biegunach /żabach/, które przy otwieraniu zgrzypiały przeraźliwie.

W wielkiej kuchni wyposażenie składało się z dużego pieca, nalepy do gotowania, żelaznych spiżaków o 3 nogach, żelaznych garnków na żelaznych dynarkach oraz nad tym wiszącego miedzianego kotła do grzania wody. Zaś umeblowanie stanowiły żarna, półka na garnki i miski, 2 kosze na ścianie dla kur do znoszenia jajek, nad kurzą gródką pod oknami ława na palach wbitych w ziemię, stół zrobiony z deski, cebrzyk z wodą i wyrko z lytry /drabiny od wozu/ nakrytej słomą. Na takim wyrku leżałem 15 lat. Podłogi nie było, toteż króliki wygrzebywały nory, gdzie miały młode, które bardzo dobrze się chowały. W drugiej małej izbie stało łóżko i szafa.

Gdy w 1913 r. ten dom rozwaląłem, w nim grzyba nie było ale każde drzewo wytłałe i dziurawe. Wyglądało jak łupa na jajku. Pamiętam, że w całej wsi za wyjątkiem dworu chaty były dymne z biegiem czasu nowe stawiano z kominami, a tamte zupełnie zaginęły w nich, gdy występowały wiatry, nieraz dym sięgał do samej ziemi, aż króliki kwiczały.

Zdarzyło się, że jeden gospodarz zabił świnie i słoninę zawiesił na strychu, aby mu lepiej wyschła. Wieczorem u niego paliło się na kolację, dym zalegał do samej ziemi. Gospodyni siedziała na nalepie przy ogniu, a pozostali domownicy na ławie. Wtedy cichutko po drabinie z sieni Cygan pomaszerował na strych, gdzie odwiązał jeden poeć słoniny i zarzucił na ramię, a że było ciemno, trafił na otwór w suficie i wpadł do kuchni. Nikt nie spostrzegł, skąd tu się wziął. Aby się nie zdradzić, momentalnie nawiązał rozmowę:

- *Dobry wieczór, gazdo!*

- *A, dobry wieczór!*

- *Może byście sobie kupili słoniny?*

- *E, nie kupię, bo mam swoją.*

- *Jak nie kupicie to bywajcie zdrowi.*

Cygan wyszedł drzwiami. Czyją słoniną handlował, gospodarz dopiero zauważył na drugi dzień.

Sto lat temu w całej wsi świeciło się smolówkami lub masłem. Ludzie, czy ich zebrało się czworo, czy dziesięcioro, jadali z jednej miski drewnianymi łyżkami, a po dworach, gdzie zatrudniano dużo czeladzi, posilano się z cebrzyków. Dzieci do czterech lat chodziły boso, w jednej koszuli, opasanej paskiem. Gdy matka wzięła chłopca do kościoła, na koszulę wdziewała mu ojcową kamizelkę, która sięgała do stóp.

Strój kobiecy składał się z wyszywanej koszuli, gorsetu, spódnicy, chustki związanej na głowie w kształcie kury z ogonem, tylko bez głowy i szyi. Zaś mężczyźni ubierali się w lniane spodnie i na nie wypuszczaną koszulę, ściągniętą skórzanym paskiem. W zimie nosili sukmany z czarnego, grubego sukna. Oprócz tego biedniejsi mieli kozuchy. Niektórzy w tych kozuchach do kościoła nawet chodzili przez cały rok. Na deszcz wywracali je do góry wełną. Bogatsi też posiadali kozuchy, ale w lecie nosili szare sukmany z cienkiego płótna. Buty wszyscy używali z cholewami.

Fryzury tak mężczyznom jak i kobietom sięgały do połowy karku, a paradniejsze miały zostawiony promyk włosów koło uszów, prosto wyczesany, zakończony węzłem z wbitą szpilką. To się nazywało lokami.

Kobiety i dziewczęta w kościele klęczały na kolanach na łokciach u rąk, z głową do podłogi zwróconą. Taki był zwyczaj.

Posty obowiązywały straszliwe w adwencie, wigilie i suche dni. Przez cały post czterdziestodniowy tylko w niedziele ludzie jedli z mlekiem. Najgorszy był post w lecie na upale. Gdy były zapusty, niektórzy chłopcy do północy popijali

w karczmie, gdzie kobiety nosiły im obiady, a wracały ku wieczorowi.

Dawniej w Limanowej w każde zapusty kilkunastu mieszczan przebierało się za Żydów w chałaty, poprzyprawiało sobie brody i pejsy i chodziło z hamanem, wyrobionym ze słomy w postaci kukły w stroju żydowskim. Mieli ze sobą i rabina. Ten ze spisu czytał, ile który Żyd ma płacić. Chodzili do każdego. Gdy prowadził sklep, dawał kwartę wódki, bogatszy "ein gulden", biedniejszy 50 grajcarów. Żydzi płacili jak podatek. Gdy ktoś przyjechał do miasta, to ci przebierańcy zabrali mu konia i sanie, bili go śniegiem, zasypywali mu oczy i pijani odjechali z hamanem na wieś do wszystkich karczem. W każdej dostali kwartę wódki, którą zabierali ze sobą, bo już pić nie mogli. Potem wrócili do miasta, gdzie właściciel otrzymał konia i na dodatek kwartę wódki. Wtedy rabin wyszedł na słup w rynku i miał mowę, a wszyscy przebierańcy siedzieli na śniegu i co chwila wykrzykiwali: "Aj waj, thy mi daj!". Na ostatku hamana powiesili, przyszli na Korabek w Lipowem i utopili go w stawie.

Obchodom tym przypatrywali się panowie, nawet sam starosta. Gdy ze wsi ktoś chciał popatrzeć, bili go śniegiem.

Po śmierci ks. Borowskiego nastał na proboszcza ks. Łazarski, który czterdzie-stogodzinne nabożeństwo przełożył z Zielonych Świątek na zapusty. Wtedy skończyły się te hece z hamanem i kobiety już nie nosiły obiadów po karczmach, chociaż pijaństwo nie ustało całkowicie.

Wówczas ludzie wierzyli w planetniki, czary, gusła, uroki, zazinięcia, strachy. Niektóre kobiety odczyniały uroki. Widziałem to. Brały trochę wody do skopca, wrzucały trzy jarzące się węgle i ruszały wargami. Był w sąsiedniej wsi jeden, co chmury zażegnawał. Ludzie dawali mu zboże, żeby bronił od gradu. Mieliśmy we wsi czarownicę, której kilka razy w jesieni nosiłem po miarce pszenicy, żeby krów nie czarowała. Byli ludzie z kołtunami jak baranie rogi na głowie, ludzie z wielkimi wolami. Niektórych w nocy dusiły zmory. Dzisiaj to jest nieznane.

Ja byłem ocytany, to w nic nie wierzyłem, a przecież mi się zdarzyło, gdy już gospodarzyłem. Miałem sąsiadkę, której się bano, bo gdy ujrzała bydłę, to coś z nim się stało.

Chowałem krowę, która dobrze się doiła, a do roboty była za konia. Chociaż cały dzień ciężko ciągnęła, nie straciła mleka. Pewnego razu dziewczyna pała blisko drogi, a sąsiadka szła i ujrzała tę krowę, która jedna miała duże wymię. Ona w południe nie dała się podoić, kopała i rozbiła garnek. We wieczór to samo. Witkowałem ją i musiałem sam doić, bo żona się bała i to czasem wylała mleko, chociaż stała na trzech nogach. Tak biedowaliśmy całe lato.

W jesieni ojciec żony do orki pożyczył tę krowę. Gdy mu ją wyprowadziłem, zapytał:

- A co będzie z mlekiem?

- A dójcie! - zażartowałem, bo wiedziałem, że nie podoi.

Na wieczór teść odprowadził krowę i się śmieje:

- *Mówiłeś, że kopie. Baba siadła w południe i wydoiła.*

Nie wierzyłem. Poszedłem doić. Krowa stoi spokojnie i od tego czasu już nie kopała.

Wówczas ludzie, gdy ujrzeli bydłę, to popluli trzy razy i mówili: "Na psa uroki, na kota suchoty".

Sąsiad Piotr namówił mnie, żebym szedł z nim na Zarębki do zięcia stodołę przestawić, bo wybudował nowy dom z 50 metrów niżej, a stodoła została.

Ludzie tamtejsi pomagali. Jeden starszy opowiadał:

- *Za pradiadka była stodoła w tym miejscu, a przy niej rośla gruba grusza. Przyszedł jakiś człowiek i mówi: "Wy tu macie pod stodołą żrebaka. Sprzedajcie mi go". Na to pradiadek odparł: "Ja o niczem nie wiem. Jak jest, to se go zabierzcie". Potem nieznamy mówi: "Żeby mi się nikt nie kręcił koło stodoły. Możecie z domu popatrzeć oknami" - a sam zaczął coś czytać z książki. Za chwilę spod stodoły wyskoczył smok. Zawadził o gruszkę i ją wykarczył, a ten nieznamy wsiadł na niego i pojechali do Afryki. Tam miał go zabić i mięso rozsprzedać Murzynom, bo podobno jest zimne jak lód.*

Jednego razu, gdy szedłem w nocy przez skoszoną łąkę, urwała się wielka gwiazda, która nad lasem o 10 km odległym wystrzeliła jak z armaty i ogień rozprysnął się na wszystkie strony, a koło mnie zaszeleściło jakby grad. Nie widzieć było szukać. Poszedłem rano, naszukałem się i nic nie znalazłem.

W roku 1914 jesienią i zimą błąkały się błędne światełka. O dziwnych spotkaniach z nimi ludzie często opowiadali. Dzisiaj już ich nie ujrzy.

Jeden raz miałem się zderzyć ze światełkiem. Myślałem, że to idzie żandarm stanąłem. Gdy było o dwa kroki ode mnie, prędko jak kula uniosło się w górę i świeciło między gwiazdami.

W lecie nocowałem w stodole na sianie. Jednego wieczoru w pobliżu tego miejsca zaczęło coś gwizdać. Pomyślałem, że kolega. Wstałem, obszedłem całą stodołę, nie ma nikogo. Wróciłem i legnąłem, nadal gwizda. Pomyślałem sobie: gwizdej – i zasnąłem.

W drugą noc to samo gwizdanie. Przyszedł do mnie kolega i o tym mu opowiedziałem, a on mówi:

- *To stodołnik. Ja ci tu przyniosę strzelbę nabitą. Uważaj, w której stronie gwizda i wypal.*

Poszedłem spać za widoku. Zamknąłem boisko. Gdy się ściemniło, gwizda. Wystrzeliłem. Ustało gwizdać i odtąd miałem spokój.

Sąsiad Piotr pokazał mi książkę *Ziemny klucz*, którą pożyczył od Stanisza, co książki układał do modlitwy. Było tam pisane, że w ziemi są wielkie skarby.

Podczas wojen ludzie zakopywali to pieniądze, to różne kosztowności, a gdy poginęli, wszystko zostało w ziemi i tego pilnują ziemne duchy.

Trzeba mieć kredę święconą przez trzy lata w Trzech Króli, zrobić trzy koła i w środku czytać. Wtenczas przyjdą różne strachy, które jednak przez te koła nie przejdą. Pojawią się i zmarli twoi rodzice. Będą cię prosić, abyś nie czytał. Gdy nie będziesz się bał i przeczytasz do końca, znikną strachy, a przyjdzie duch ziemny, który zapyta, czego chcesz, pieniędzy czy złota i w tej chwili ci przyniesie.

Sąsiad nie posiadał kredy i nie chciał tego robić. Oddał książkę. Stanisz miał kredę i zaczął czytać. Gdy ujrzał strachy, bał się i dał spokój. Nie słychać było, że ktoś spróbował i się wzbogacił.

CHŁOPSKIE ŻYCIE AUTORA

Miałem 13 rok, gdy skończyłem czwartą klasę. Wtedy ojciec zawołał mnie do młocki, którą każdego dnia kończyliśmy o zachodzie słońca. W tej chwili ojciec szedł bydło napaść, a ja musiałem sieczkę rznąć w skrzynce, co było dla mnie najgorsze, a we wieczór zemleć miarkę owsa dla świni. Co tydzień wialiśmy zboże, bo młynków nie było. Ojciec rzucał szuflą, a ja zdymałem workiem. Gdy się młocka skończyła, to przedliśmy: ja na wózku a ojciec z matką na wrzecionach. Len siał każdy, bo chodziło się w zgrzebnych spodniach i górnicach.

W roku 1884 w Lipowem powstało Kółko Rolnicze, jedno z dziesięciu na terenie Galicji. Zostałem jednym z 18 jego członków, którzy płacili składkę po 20 centów rocznie. Założył go Jan Biedroń /1863 - 1915/, który pochodził z naszej wsi, a był inspektorem rolnictwa na całą Galicję. Mieliśmy bibliotekę z 80 książek i 2 tygodniki: "*Niedzielę*" oraz "*Wieniec i pszczołkę*" ks. Stojałowskiego. Te gazety w niedzielę przeczytał pierwszy członek, odesłał drugiemu, który po przeczytaniu doręczał trzeciemu. Ja byłem czwarty, a ostatni otrzymał za 4 miesiące. Gdy książki były wyczytane, Biedroń je zabierał a przywiózł nowe. Przedtem żaden nic nie czytał. Odtąd zaczęła się poprawa w rolnictwie i polityka. Kółko rolnicze zrobiło przewrót w gospodarce i ludzi uświadomiło politycznie. Trwało tak długo, aż po jednym wymarli jego członkowie. Z młodych ludzi do niego nikt się nie zapisał. Zostało nas trzech i każdy już prenumerował gazetę. Obecnie żyję tylko ja.

W 15 roku życia kupiłem sieczkarnię, pierwszą we wsi. Proszę ojca, żeby mi ją przywiózł wołami, a on mówi:

- Dałby ja ci sieczkarnię. Gdybyś przywiózł, to ją wyrzucę do potoka, bo bydło nie chce jeść, choruje i pada.

Nająłem konia, przywieźliśmy i urznęli sieczki. Dwa tygodnie rznąłem sam, ojciec się gniewał. Pomógł mi, kiedy bydło jadło lepiej i nie chorowało. Sąsiedzi pożyczali i już w ciągu paru miesięcy kupili kilka sieczkarni. Tego roku gazety odnosiłem do Domitra. Tam byli dwaj tkacze, którzy robili płótno do północy i świecili. Zimą do nich schodzili się chłopcy i razem grywaliśmy w karty. Ich dziesięciu tak na figle opisałem wierszem. Gdy im to Domiter przeczytał, było dużo śmiechu. Najpierw załatwiłem Domitra:

*A Domiter to zdeb wielki.
Nie ma nigdy kamizelki.
Na zarobek w miasto idzie,
By się jakoś ognać biedzie.
Ma pieniędzy co niemiara,
Zawsze pierwszy bez grajcara.*

Te wiersze lotem błyskawicy obiegły całą wieś i pasterze przy bydle je śpiewali, co pogniewało chłopów. Jedni obiecywali skarżyć, drudzy bić, ale dali spokój.

Gdy pierwszy wiersz posłałem do gazety i został wydrukowany, zacząłem pisać. Co za 70 lat napisałem do różnych gazet, nie pamiętam.

Gdy nastąpiły wybory posłów, tak do Sejmu jak i Rady i Państwa, chodziłem na nie, bo należałem do partyzantki, którą dowodził kolega Raczek. Pierwszy raz wybory odbywały się ustnie. Wówczas jeden z nas stał we drzwiach z kredą i który wyborca głosował na pana, to mu zrobił kreskę na plecach, gdy wychodził, a my mu na mieście tę kreskę otrzepali kijami. W drugie wybory żandarmi zrobili czworobok i puścili tylko wyborców.

Wstydziłem się chodzić w zgrzebnych ubraniach. Żydzi już mieli ubrania przechodzone i nowe, ale nie było pieniędzy. Poszedłem się uczyć na tkacza, ale po 2 miesiącach przestałem, bo to był lichy zarobek.

Przyszedł do nas stolarz okna robić, większe i otwierane. Pomagałem mu. On obiecał, że mnie nauczy stolarki za jedną zimę. Zgodziliśmy się za 30 reńskich. 15 dałem mu zaraz, a 15 po nauce. Byłem u niego jako czeladnik. Miałem swój warsztat i robiłem skrzynie, stoliki, okna, drzwi. Tylko trumny robiliśmy obydwaj, bo trzeba było prędko. Majster zaczął popijać. Umarł ktoś bliski, zrobiliśmy trumnę i poszedł na pogrzeb. Nie widać go. Już druga godzina po południu, idzie pijany: wtedy wbiłem miotłę na linię i oparłem o drzwi. Gdy majster je otworzył, miotła

zjechała i omiotła go po głowie, a ja się śmiałem. On się zezłościł i zapowiedział, że nie będzie mnie już uczył stolarki. Przyniósł 15 guldenów i przede mną położył na warsztacie. Mnie się zrobiło nijako, ale skończyłem robotę. We wieczór pieniędzy nie brałem. Przyszedłem do domu, był u nas Domiter po gazety. Opowiedziałem mu swoją przygodę, a on mi mówi:

- Dlaczegoś nie wziął pieniędzy, a coż on cie więcej nauczy, tyle ze sie narobis i jesce mu zaplakis 15 złr Jest u mnie warsztat mam foszta na warsztat, to byś se wziął, kupił parę mebli i zrobił warsztat.

W drugi dzień poszedłem. Majster już wytrzeźwiał i daje mi robotę. Ja odniosłem mu podarunki i mówię:

- Jak nie to nie! Nie uczę się więcej!

Majster przyniósł mi 15 guldenów, pochwyciłem je i bywajcie zdrowi. Żałował tego, ale za późno.

Przywiozłem warsztat i foszta, kupiłem trzy heble, zrobiłem sobie warsztat i wszystko, co potrzeba. Sąsiad wybudował nowy dom, porobiłem mu okna i drzwi. Jużem nie chodził w zgrzebnym ubraniu. W wolnych chwilach zrobiłem pierwszy młynek do czyszczenia zboża, a w zimie dalszych osiem. W lecie poszedłem na budowę do miasta, gdzie był akord. Często rznąłem traczką. Pracowało się 12 godzin za 1 złr 20 kr. Za to kupił buty juchtowe z cholewami, a za 2 dni ubranie wełniane kamgarnowe. Dzisiaj trudno tyle zarobić za miesiąc. Nie pamiętam, którego roku do Rady Powiatowej w Limanowej przybył Józef Bek, ojciec sławnego ministra. Tu założył wielką bibliotekę i w każdą niedzielę z żoną pożyczał książki. Wkrótce się zaprzyjaźniliśmy. On namówił mnie, że zostałem pisarzem gminnym, którym byłem 25 lat. Za jego staraniem zwiedziłem Kraków i wysłał mnie na kurs weterynaryjny do Lwowa. Wówczas Lwów był oświetlony gazem, a tramwaje konne.

Przez 50 lat ratowałem bydło i żadne nie padło. Księdzu proboszczowi zachorowała krowa na zatwardzenie. Wzięli ją jacyś lekarze do Pisarzowej. Za dwa tygodnie oddali, że jest niewyleczalna i trzeba ją zarżnąć. W jarmark, Bocheński, szwagier księdza, ujrzał mojego ojca, zaprowadził go do stajni i mówi:

- Weźcie tę krowę, zarżnijcie i sprzedajcie na wsi mięso, bo mnie w mieście nie wolno. A ile weźmiecie za mięso, to mi oddacie.

Ojciec nie chciał brać, bo ani wagi nie miał, ani wyrąbać nie umiał. Ale Bocheński odwiązał krowę i wyprowadził ją ze stajni mówiąc:

- No bierzcie! Za darmo to nie będzie.

Ojciec przyprowadził krowę. Jeszcze przyszła. Nakopałem korzeni psiego mleczu, uwarzyliśmy i wiali jej na noc. Na rano już się wyzbyła wszystkiego. Była wyleczona. Tylko osłabła i nie mogła stać na nogach. Przyniosłem jej siana - nie jadła. Przyniosłem koszek liści z kapusty - jadła leżący . Potem wstała i zbierała liście rozrzucone. Przyniosłem potrawę – jadła, po tym suchej koniczyny - jadła. Była uratowana.

Za tydzień powiodłem ją na plebanię. Ojciec poszedł wprzód szukać Bocheńskiego. Gdy bydlę zaprowadziłem, Bocheński już czekał z ojcem. Gdy ujrzał krowę, poszedł po księdza prałata, który się roześmiał i dał ojcu kwitek na buka.

Przyszedł posłaniec od sąsiada Piotra, żeby prędko przyjść. Ubierałem się do kościoła, bo była niedziela. Wyszedłem, a tu Piotr leci do mnie i miga rękami. Gdy zaszedłem, zaprowadził mnie do stajni, gdzie leżał wół, silnie rozdęty. Daje mi nóż, żeby poderznąć woła, ale ja świnię biję, a bydlęcia nie poderznę, więc go przebiłem, wprawiłem mu rurkę, kazałem Piotrowi przynieść pręta i ją przetykać, gdy się zatka i poszedłem do kościoła. Po sumie nie poszedłem na miasto, ale wprost do sąsiada, bo byłem ciekawy. Gdy tam zaszedłem, obiadowali. Nikt nie był w kościele. Pytam:

- *Co słyszeć?*

- *Zajrzyjcie do stajni.*

Zajrzałem, wół stoi zdrowy i je.

- *No, chwala Bogu, że się tak stało. Nie przypuszczałem że ożyje, ale nie chciałem go zarzynać , bo świnię biję, ale bydlęcia nie zarznę tak, jak wy.*

- *Aleście to, aleście weterynarz! Ja przegrzebałem rurkę, bo się zatykała. Po pewnym czasie jak się wół zerwie - od razu wstał i poszedł jeść.*

Najbliższym moim sąsiadem był Tomasz G., który 18 lat służył przy wojsku austriackim, gdzie bił żołnierzy, jak który zasłużył, bo wtenczas za karę bito, a kto był bity, to popamiętał do śmierci. Gdy zniesiono karę bicia, tak puszczono Tomka do domu. Tu przyniósł 1600 reńskich - więcej niż była warta jego gospodarka o powierzchni 8 morgów. Hulał po karczmach. Muzyka go odprowadzała do domu, a raczej do budy. Płacił dobrze. Gdy mu zabrakło pieniędzy, zdjął ze siebie ubranie wojskowe i rzucił muzyce.

Szli konfederaci barscy i stanęli obozem w tak zwanych Dołkach pod dworem lipowskim, a swoją kasę umieścili w ulu. Gdy ktoś na Jabłońcu zabębnił na cebrzyku, to czem prędzej wynieśli się pod Lanckoronę. Zabrali ze sobą kowala Jeża, a kasę zapomnieli. Gdy po pewnym czasie Kita znalazł ją w ulu, był bogaty. U niego

ożenił się Tomek. Ile wziął posagu, nie wiadomo. Ludziom pożyczał pieniądze na 12 procent. Jego żona była chorowita. Nic nie robiła, wyglądała jak śmierć. Chowali różne służące. Po długim czasie najęli służącą, nieznajomą, Jagę Niedopyrę z trzeciej wsi, która miała dziecko, ale co z nim zrobiła, nie wiadomo, bo bez niego przysłała na służbę. Była niezwykle pracowita. Nie tylko we dnie, ale i w nocy żęła we żniwa, tak że sama zeżęła całą gospodarkę. Sąsiad do nikogo nie chodził i do niego nikt nie chodził. Po kilku latach żona mu umarła. Po pogrzebie zaraz się ożenił. Był już stary. Po kilku latach umarł, mając lat 84. Wdowa otrzymała gospodarkę i pieniądze.

Z nią ożenił się biedny szewc, ale był to pan, którego krewni sprowadzili z Krakowa. Pobudował dom i stodołę, zakupił młocarnię kieratową, sieczkarnię, młynek, kultywator i inne rzeczy. Ów Krakus bywał u mnie wieczorami, ale jego żona gniewała się, nie wiem, o co. Gdy mnie ujrzała z daleka, zawinęła spódnicę i wystawiła na mnie goły tyłek, a służąca Jaga Niedopyra mnie przezywała.

Wybuchła pierwsza wojna. Krakus na nią poszedł, bo służył przy wojsku. Żona z tą Jagą prowadziła gospodarkę i nadal się gniewała.

Jednego razu w zimie był mróz srogi. Ludzie przychodzili do sąsiadki i wychodzili. Coś tam jest. Gdy się już rozebrałem do snu, ktoś zapukał w zamrażnięte okno. To Jaga i woła:

- Chodźcie do nas, bo krowa chora !

Jakże iść, gdy się gniewa, do tego zimno. Ale myślę sobie: Krowa się nie gniewa. Jak chora, to ją trzeba leczyć.

Zebrałem się i poszedłem. W stajni się świeciło. Obejrzałem krowę, wydostałem z niej nieżywe cielę i wyszedłem, nie mówiąc ani słowa. Pomogło. Już sąsiadka się nie gniewała. Gdy my się gdzie zeszli, rozmawiała. Jednego razu mówi mi tak:

- Jak mnie braknie, to cała gospodarka pójdzie na dziady, bo to miescon. W polu nie umie robić i nie chce mu sie. Chciałby maszynami robić, a tu maszyny nie będą robić bez ludzi.

Gdy sąsiad powrócił z wojny, jego żona zmarła i biegał za ożenkiem daleko, a ożenił się blisko u gospodarza, który miał trzecią żonę i 24 dzieci. Wziął 2000 zł i część gruntową, którą sprzedał, nie wiem, za ile. Mieli siedmioro dzieci: 5 synów i 2 córki. Zeszedł na dziada, jak mu nieboszczka przepowiedziała. Nie płacił już podatków, nie dawał obowiązków, to wzięli jego żonę do aresztu na 6 tygodni, bo on był stary. Jego dzieci wszy żarły. Gdy przyszedł do mnie to nożem skrobał się po plecach. Jeść nie miał nic. Czy to pomogło? I tak mleka nie odstawiał, bo nie miał,

choć żonę wypuścili. Gdy wróciła, ją pytam:

- *No, jak tam było?*

- *Jeść się nie chciało, choć dawali i nać z buraków. Jak będzie na mnie taka bieda, to muszę albo kogo podpalić, albo coś takiego zrobić, żeby się dostać do hareštu.*

Dwóch synów pracowało w Nowej Hucie. Gdy przyszły żniwa, przyjechali, wymłócili zboże, sprzedali go i nie było się o czym wrócić. Ich ojciec dla nich na drogę u mnie pożyczył 500 zł, obiecując:

- *Oni tu przyślą za miesiąc, to oddam.*

Jeden zarabiał 1500 zł miesięcznie, drugi 1300. Gdy przyszedłem po dług, to sąsiad do mnie skoczył z pięściami i zuchwale wyzywał:

- *Ty psia krew, złodzieju!*

W drugim roku przyjechali synowie, wymłócili, sprzedali zboże, młocarnię z kieratem, sieczkarnię oraz wszystko, co ojciec pokupił. Trzeci syn trzy razy odwiózł mi jabłka, za co mu zapłaciłem, a on pokazał mi kwit, ale pieniędzy nie oddał i odjechał. Gdy trzeci raz synowie przyjechali, u mnie pożyczyli młocarnię. Wymłócili i odjechali, ale jej nie zwrócili. Musiałem nająć i przywieźć, bo by ją byli sprzedali. Sąsiad chodził po wsi. Gdzie ujrzał chleb, krajał, jadł, brał do kieszeni. Gdy ludzie chowali chleb, to przychodził w południe na obiad i nie poszedł, dopóki go nie napaśli. Tak gmina go żywiła, aż umarł. Wdowa została z synem i córką, a druga córka z Krakowa przywiozła jej małe dziecko. Ich całe gospodarstwo leży odłogiem już trzeci rok. Czym ci ludzie żyją?

*Nie daj Boże mieć takiego sąsiada,
Bo człowiek przy nim może zejść na dziada.*

Wybuchła pierwsza wojna. Gdy na Jabłońcu zagrzmiały armaty, do mnie sprowadziło się dużo ludzi z bydłem tak, że nie było go gdzie umieścić, choć oprócz nowej stajni jeszcze stała stara.

Przyszło do mnie trzech żołnierzy, żeby jednego z meldunkiem zaprowadzić do Tymbarku. Tam kwaterował Piłsudski. Wzięli mnie do dworu, gdzie było pełno wojska. Całą noc pod wartą stałem w polu. Rano dali mi Czecha na koniu. Gdy uszliśmy 2 kilometry, przed sobą ujrzeliśmy 3 kozaków. Natychmiast zawróciliśmy i udaliśmy się polną drogą. Przyszliśmy na głęboki potok, gdzie była kładka. Żołnierz na nią wprowadził konia i się załamała, a obydwaj runęli w potok. Wtedy mógłbym zwać, bo znajdowałem się w krzakach, ale byłem ciekawy, czy wyjdzie

który. Wydostali się bez szwanku. Polami doprowadziłem ich do Tymbarku.

Mieliśmy obydwaj wrócić, ale Czech został i sam wracałem wśród kul z obydwóch stron. Musiałem więc zaczekać, siedząc kilka godzin w piwnicy i dopiero szedłem wieczorem. Sąsiadów dom zajęli Rosjanie i do mnie strzelali. Podniosłem ręce do góry i przestali. Gdy już byłem blisko swej chaty, o dwa kroki ode mnie wybuchnął granat i obsypało mnie ziemią.

Na drugi dzień zaczęła się bitwa na Jabłońcu, która trwała 4 dni. U mnie był punkt obserwacyjny i telefony do siedmiu baterii. Od granatów 50 dziur powstało koło mego domu. W niego nie uderzył żaden pocisk. Za nim o 200 metrów stało 17 armat. Od ich strzałów pęknął mi piec. Wnet Rosjanie cofnęli się pod Gorlice.

*Dobrze na wojence, kto Boga uprosi.
Żołnierze strzelają, Pan Bóg kule nosi.
Trzeba tylko prosić Pana Boga w niebie,
A żadna kula nie uderzy w ciebie.*

Odwiedził mnie Bek z jakimś panem, który mi powiedział, że Austria się rozleci, żeby nie dawać żadnych rekwizycji. Gdy się skończyła wojna, ów pan był majorem 2. Pułku Strzelców Podhalańskich, który się sformował w Rafinerii w Sowlinach i w każde rano śpiewał w polu "*Kiedy ranne wstają zorze*".

Gdy w kościele śpiewali "*Boże wspieraj, Boże uchron*", chłopci śpiewali, a gdy zaśpiewali "*Boże coś Polskę*", to tak uciekali z kościoła, aż się dusili we drzwiach. Widocznie przeczuwali, że będzie źle, to też Witos, gdy był w Rządzie, u nas miał mowę i powiedział tak: "*Jest źle, a będzie jeszcze gorzej*". Gdyby Austria wróciła, to by chłopci na Kalwarię szli na kolanach.

Pieniądz austriacki już mało warty, Miałem 14.000 reńskich. Gdy zmieniałem je na marki, wziąłem 10.000, a gdy marki zmieniali na złote, to za jednego złotego trzeba było dać milion 800 tysięcy. Na nic moja praca przez 15 lat!

Jak marki spadały? Sąsiad namłócił nasiennej koniczyny. W jesieni mówię mu:

- *Szymonie, sprzedajcie mi miarkę koniczyny?*

- *O, nie sprzedam aż na wiosnę.*

- *A jak bym wam dał milion?*

- *To sprzedam.*

Dałem milion. Namierzył mi z kopą, bo za milion. Na wiosnę miarka kosztowała 4 miliony.

Nie miałem butów. Po wiosnie na budowie zarobiłem 60 tysięcy marek. Poszedłem na jarmark, obrałem buty, ale kosztowały 70 tysięcy. Zarabiałem tydzień, mam 80 tysięcy, a buty te same kosztują 90 tysięcy. Za tydzień mam 110 tysięcy, a buty kosztują 120 tysięcy.

No - myślę sobie - będę pracował do zimy, a butów nie kupię.

Ujrzałem kolegę, który skóry garbował i robił buty. Mówię mu, żeby mi zrobił buty, a on na to:

- Kiedy jeszcze skóra nie wyszła. Dzisiaj buty kosztują 120 tysięcy.

- Ja wam tyle dam. Kupcie podeszwy i surowych skór, a kiedy skóra wyjdzie, to mi zrobicie buty.

Z początkiem zimy zrobił buty dużo lepsze jak na jarmarku. Pytam go:

- Ile mam dopłacić? - a on się śmieje i mówi:

- To ja bym miał dopłacić, bo o wiele więcej mi teraz skóry, wartają. Obróć się do kowala, to ci okuje i jutro obujesz.

Obróciłem się i mi okuł. Za podkówki zapłaciłem tyle, co za buty - 120 tysięcy.

Nastaly wybory wójta. Mnie chciano nim wybrać, ale się nie zgodziłem. Gdy przyszły drugie wybory, zostałem wójtem, którym byłem 4 lata. Za moim staraniem obok browaru został wybudowany bardzo potrzebny most, łączący Lipowe z Limanową i przez wieś zrobiliśmy drogę. Dzisiaj po niej jeżdżą auta. Ponadto sprowadziłem tryjer do czyszczenia zboża i w sierpniu każdego roku wagon żużli. Chłopi wyzamawiali, ile który ich chciał. Gdy przyszły, ludzie po nie się zjechali i za dwie godziny wagon opróżnili. Zapłata była na wiosnę.

Starostwo wydało okólnik, żeby wójtowie, sprowadzali żużle dla swoich wsi. Jednak żaden wójt oprócz mnie tego nie realizował. Żydzi widzieli, jak ludzie tyle wieźli. Postarali się i wymierzono mi podatek. Przyszedł egzekutor i zajął mi kierat. Odnalazłem okólnik. Udałem się do Urzędu Skarbowego i zostałem zwolniony od podatku.

Przyszedł do mnie kolega szkolny, który sąsiadowi kolejarzowi chciał zrobić kuratora. Nie dałem mu pieczętki, ponieważ o niczym nie wiedziałem i zbyłem go słowami:

- Róbcie bez Urzędu Gminnego, jak macie świadków.

Kolejarz ujrzał mnie w niedzielę i wołał do szynku. Nie poszedłem. Mówi:

- Michał robi mi kuratora. Jak się mam bronić?

- *Nie zapierajcie się, że nie pijecie, ale mówcie: Ja płacę wielkie podatki, bo wódka droga. Co zarobię na kolei, to zwracam rządowi. Z gospodarstwa nie biorę nic, tylko dokładam, jak coś trzeba. Jak sobie wypiję, nie napastuję nikogo, a jak se zaśpiewam, to czy mi nie wolno.*

Gdy ten kolejarz mnie spotkał w następną niedzielę, gwałtownie wziął do szynku i z uciechą mówi:

- *Aleście mi doradził, czego żaden adwokat by nie potrafił. Naśmiali się wszyscy w Sądzie i nie robili mi kuratora. Michał wziął sobie adwokata, który ani słowa nie powiedział, tylko się śmiał. Gdy wyszliśmy z Sądu, zapytał mnie, kto mnie nauczył tak odpowiadać.*

Starostwo wydało rozporządzenie, żeby żaden wójt nie uczestniczył w zgromadzeniach Stronnictwa Ludowego. Tam, gdzie ludzie się schodzili, stała policja i obserwowała, czy idzie który wójt. Ja chodziłem na wszystkie zgromadzenia, bo byłem prezesem Koła i skarbnikiem Zarządu Powiatowego SL. Te zgromadzenia odbywały się często, ale nigdy na nich nie było żadnego wójta oprócz mnie. Za to zostałem zawieszony w urzędowaniu i wezwany do komisarza, który był człowiekiem. Wyczytał mi 13 grzechów i je przekreślał, mówiąc:

- *Tak nie było!*

Zostawił trzy, tłumacząc:

- *I te należałoby przekreślić, ale starosta nakazał mi złożyć was z urzędowania.*

Mówię mu:

- *Niech pan podziękuje staroście w moim imieniu, bo sam miałem złożyć urząd, tylko mi honor nie pozwolił. Mam pensję 60 zł rocznie, a muszę 156 razy obejść na pocztę 5 kilometrów. Za każdym razem zmitręzę pół dnia. Jeszcze wypada mi roznosić po wsi, gdy jest coś pilnego. Ja dawniej byłbym wójtem, ale nie chciałem. Za moim staraniem mamy most i drogę przez gminę, która za różnych wójtów była 7 razy uchwalona, a nie zrobiona, zaś ja zrobiłem ją bez uchwały i przyłączyłem część Lipowego, przez pana przegraną w karty i przyłączoną do Słopnic, ale została przy parafii w Limanowej. Pana starostę diabli wezmą, a Stronnictwo Ludowe zostanie.*

Gdy złożono mnie z urzędu, Starostwo nakazało wybrać wójta. Dostałem wszystkie głosy. Starosta znów polecił wybrać wójta. Trzy razy zostałem jednogłośnie na nowo wybrany, bo nie było napisane, aby mnie nie wybierać. Radni uparli się, że nie ustąpią, ale przy czwartym głosowaniu im mówię:

- *Zmieńcie sobie wójta, bo gdy się uprzecie, Starostwo da wam komisarza i będzie źle. Wybierzcie mojego szwagra, a ja będę urzędował.*

I tak zrobili. Rok urzędowałem za darmo.

Na drugi rok szwagier mnie już nie potrzebował. Zwołał Radę Gminną do uchwalenia budżetu, w którym zamiast 60 zł wójtowi i pisarzowi wstawił 200 zł. Radni mu nie uchwalili, więc poszedł do starosty i płakał, że nie będzie urzędował za darmo. Starosta wpisał mu żadaną kwotę. Gdy podwójci ujrzał ów budżet, z dwoma radnymi przyszedł do mnie i pytali, co robić. Mieliśmy wnieść skargę do Województwa, ale szwagier się dowiedział i złożył urząd podwójciemu, który nie długo urzędował, bo zniesiono wójtów i rady gminne, a nastąpiły gminy zbiorowe i rady gromadzkie, które miały wybrać sołtysa. Wybrano rady gromadzkie. Zostałem radnym.

Starosta zarządził, że każdy radny ma zdać egzamin. Czy zdawali, nie wiem. Ja o drugiej godzinie po południu dostałem wezwanie, abym u wójta stawił się o dziesiątej rano. Nie poszedłem. Na drugi dzień otrzymałem wezwanie o dziesiątej, abym się stawił o drugiej. Poszedłem. Jakiś nieznajomy pan mnie zapytał, dlaczego wczoraj się nie stawiłem. Ja mu mówię:

- *Nauczcie się urzędować: Jak się miałem stawić o dziesiątej, gdy wezwanie dostałem o drugiej? Jeżeli wy wariujecie, to ja mam swój chłopski rozum.*

- *A ja czekałem do wieczora.*

- *Mógł pan czekać i do maja. Na co pan mnie potrzebuje? Pan nie jest nauczycielem, a ja nie jestem studentem, aby mnie pan egzaminował. Ja panu podaruję tego radnego. Do widzenia!* - Poszedłem.

Usunięto mnie z radnego, bo tak starosta kazał. Za kilka dni były wybory do Rady Powiatowej i zostałem wybrany radnym, a starosta już nic nie mógł zrobić. W niej zasiadało 5 chłopów, 4 księży i 1 pan. Jeden ksiądz przystał do nas, ale dwóch chłopów przeszło na stronę starosty i mieliśmy mniejszość.

Wspomnę jeszcze o rewolucji w Limanowej. Przyjechał tu sanacyjny poseł. W niedzielę 29 czerwca 1930 r. miał mieć sprawozdanie czy coś takiego. Była już mównica, ale czegoś się obawiano. Na potoku przy moście wykopano staw, do którego napłynęło wody. Z nim strażacy długim węzem połączyli sikawkę. Gdy ludzie wyszli z kościoła, zgromadzili się koło mównicy. Zaczęto ich rozganiać do domów, że nie będzie żadnego wiecu. Oni nie ustępowali. Aresztowano kilku. Gdy i to nie pomogło, z ukrycia wyszła kompania policji, sformowała się w linię i z najeżonymi bagnietami jak do szturmego szła na ludzi, którzy ustępowali. Ale za policją z tyłu maszerowali młodzi ludzie, z nimi łączyli się ci, którzy ustępowali i było takie błędne koło. Wówczas jeden, taki wieczny kandydat na posła /Stanisław Król z Roztoki/

wyszedł na słup telegraficzny i miał mowę, żeby policjanci wypuścili aresztowanych, to ludzie się rozejdą. Ich rozegnano by wodą, ale ktoś przeciął węża. Aresztowanych wypuszczono i oddano ludziom, którzy się rozeszli. Tylko poseł nie miał w czym wracać, bo mu zerżnięto gumy u auta. Komisarz Walter został przeniesiony za to, że uwolnił aresztowanych.

Ponieważ krzywdziliśmy sobie rządy sanacyjne, a w powiecie limanowskim Stronnictwo Ludowe było silne, w sierpniu 1937 r. przez 10 dni tutaj odbywał się strajk chłopski. Z małymi wyjątkami popierali go wszyscy, a kto się wyłamywał dostał gorzką nauczkę. Jednemu stłuczono wóz, a memu sąsiadowi na drobne kawałki pług, bo Żydowi dawał mleko. Kobieta do miasta niosła masło. Szła potokiem i krzakami, bo się bała iść drogą. Chwycono ją i całą tym masłem wysmarowano. Chłop gnał krowę na jarmark. Ktoś do niego wystrzelił z karabinu. Kula świsnęła mu koło uszu i natychmiast zawróciła. Paliły się stodoły i kopy.

Wybuchła druga wojna. Ludzie uciekali, ale gdzie? Niemcy do nas przybyli bez wystrzału. Każdemu kazali zgłosić, ile ma morgów gruntu, bo z tego mieli brać kontyngent, a puścili pogłoskę, że kto posiada mało, będzie wysiedlony do Niemiec na roboty, to ten podawał więcej, bo się bał. Nikogo nie wysiedlono.

Mleko też trzeba było dawać, ale nie od hektara jak teraz. Co dwa miesiące po stajniach chodził Niemiec, który sprawdzał, ile jest krów i jakie mają wymiona. Na tej podstawie uznawał jeden podój po 3, po 2 i po 1 litrze. Za mleko Niemcy nie płacili wiele. Kto nosił miesiąc, dostawał kilka kilo cukru i kawałków mydła. Ja w jednym miesiącu odstawiłem 27 litrów, to otrzymałem 5 kilo cukru i 4 kawałki mydła.

Niemcy za bydło płacili możliwie i dodawali wódki do każdej sztuki po 10 do 14 litrów, którą można było sprzedać. Ponadto dużo robiono samogonu.

Do mnie przychodził jeden Niemiec, który obsługiwał oficerów. Miał jechać na urlop i mówi:

- *Kura, kura muter.* - Tyle umiał po polsku.

Żona dała mu kurę. Gdy powrócił, za to przyniósł porządną spódnicę i powiedział:

- *Muter szen danke za kura.*

Również bywał u mnie inżynier z Drezna. On za masło dał mi ubranie przechozone, ale dobrego gatunku, które tanio policzył.

Podczas wojny w moim domu partyzanci miewali zebrania. Pierwszy raz prosili, a potem przychodzili sami. Bywało ich po dwudziestu kilku. Mój dom przy lasku na

wierzchu góry im odpowiadał. Postawili wartę i śmiało urzędowali. Mieli skargi i sądzili, ile kijów ma kto dostać. Pisarz sołtysa dostał 25 kijów. Byłby dostał i sołtys, ale go wybroniłem, a teraz żałuję, bo mi się odplacił.

Gdy Niemcy wykończyli powstanie w Warszawie, po Polsce porozwozili tamtejszą ludność. I do naszej wsi przybyło kilkunastu. Dostałem młodego człowieka, który był porucznikiem w powstaniu. Zwiedził Grecję, Turcję, Jerozolimę, Egipt i Hiszpanię. Kilku Rusków przyszło do mnie. Jeden umiał po polsku. Ów warszawiak mu się przyznał, że był w powstaniu, a ten mówi:

- Acha, to wyście chcieli wyrzucić Niemców i zrobić swój rząd ale my wam nie pozwolili, bo my wam przywieźli rząd, jaki się nam podobał.

Teraz jak jest, to wszyscy widzimy. Zmieniło się dużo. Mamy radio, oświetlenie elektryczne, nawet i motory elektryczne, bo postęp jest na całym świecie, nie tylko u nas. Dawniej chłopskie dzieci nie mogły się uczyć w średnich szkołach. Gimnazjum było w Nowym Sączu. Dzisiaj jest na miejscu i w nim nawet biedni się kształcą. Ale wszyscy się uczą i powiadają, że rolnictwo to najgorszy fach. Co będzie, jak wymrą ci starzy ludzie, którzy obecnie pracują na roli? Też mamy na miejscu szpital, pogotowie ratunkowe, przychodnie. Również buduje się kino i gmach dla urzędników. To jest zasługa i starania Rządu Ludowego.

Ale rolnictwo to kaput. Cofnęliśmy się o 50 lat. Przed wojną, gdy przyszedł św. Jan, to tyle stało kóp koniczyny, jak gwiazd na niebie. Krowy ją jadły i dawały dużo mleka, które świnie piły, toteż w każdy jarmark było ich więcej niż dzisiaj na czterech jarmarkach. Można było dostać tomasyny (żuźli) w dowolnej ilości. Za nią płacono się na wiosnę, gdy się ją brało we wrześniu, natomiast dzisiaj nawozy zabiorą pegieery i spółdzielnie produkcyjne, a chłopu nic. Od nas jeździli po nawozy do Gminnej Spółdzielni w Laskowej, bo tam ich kupił, ile chciał. Dawniej również były magazyny otrąb, które wzięto się na kredyt i było czym świnie chować. A dzisiaj nie pomoże areszt i kary jak nie ma czym żywić.

Gdy przyszła mania zakładania spółdzielni produkcyjnych, w celu werbowania do nich członków, pod groźbą utraty zarobku wysyłano po dwóch robotników. Jeden mi opowiadał:

- Poszliśmy w góry. Mówimy jednemu chłopu, a ten powiada: "Ja nie rządzę, idźcie se do baby". Poszliśmy i opowiadamy, a ona sarknęła: "Dajcie mi święty spokój, bo gotuję obiad". Ja już nic nie mówię, a ten drugi uparcie ją namawia. Wtedy ta kobieta otworzyła szafkę, wzięła kropidło, oblała go wodą z flaszki, zalała nam oczy i krzyczy: "Tak się diabłów wygania święconą wodą". Wycofaliśmy się, ale ostrożnie, żeby nas nie nabito. W drugą niedzielę poszliśmy ku Szczyrzycowi.

Namawiamy jednego chłopca, a ten mówi: "Ja przystanę do spółdzielni, ale pierwszy nie, bo by mnie zabili". Poszliśmy do drugiego i trzeciego. Wszyscy przystaną, ale pierwszy nikt. Tak się umówili.

W spółdzielni produkcyjnej w niedzielę przed południem orano traktorami, zboże koszone żniwiarką, kopano rowy i drenowano pola, toteż chłopcy, gdy szli do kościoła, wzdychali:

- Czegośmy się to doczekali!

Gdzieżby się kto zapisał do spółdzielni?

Gdyby ten, kto zmarł 80 lat temu zmartwychwstał, nie poznałby ani swojej wioski, ani swoich ludzi. Myślałby, że jest w Ameryce. Dawniej chłopcy byli chamami, dzisiaj w ubiorze są panami. Domy budują jak wille lub pałace. Kobiety i młode dziewczęta stroją się jak panie w mieście. Włosy mają fryzowane, tylko starsze noszą warkocze.

Chłopskie życie

Przez obcą wieś błądziłem gdzieś.

Mówi do mnie niewiasta:

Chcesz w mieście być, tą ścieżką idź,

Zajdziesz prosto do miasta.

Kusi to miasto gdzieś, ale ja wracam na wieś.

Trafić muszę do swojej wioski.

Chcę chłopem być, z chłopami żyć,

Dzielić z nimi trudy i troski.

Kochałem sad, jestem mu rad,

Te jabłonie i grusze, orkę i siew,

Skowronka śpiew.

Tu żyć i umrzeć muszę.

Gdy przyjdzie zgon, uderzy dzwon,

Byłem chłopem, nie panem.

Z tej ziemi żył, w niej będę gnął

Na wieki wieków. Amen.

DZIERŻAWCY

Nie pisałbym o tym, ale że polski rząd jest: chłopsko-robotniczy, muszę napisać swoje uwagi jako chłop o robotnikach.

W grudniu 1951 r. umarła mi żona, a ja ciężko chory zostałem przewieziony do córki Marii Mamak. Mój dom został zamknięty. Pod wiosnę zgłosił się nieznajomy brygadier z byłej Rafinerii w Sowlinach i wydzierżawił budynki oraz móg gruntu, bo chował krowę i trzy kury, a chodził do roboty 10 kilometrów. Miał troje dzieci i żonę, córkę kułaka z 20 morgów, która leżała i w polu nic nie robiła. Ów robotnik był pracowity i grzeczny. Jego żona miała inną wiarę. Mówiła:

- *"Po śmierci piekła nie ma. Tu na ziemi jest piekło. Kraść wolno, ale trzeba uważać, aby się nie dostać do aresztu i trzeba się spowiadać. Jak cię ksiądz rozgrzeszy, to już twoje. Zwracać nie potrzeba"*.

Toteż mnie okradli na 1100 zł i wstąpili do nowo założonej spółdzielni produkcyjnej.

Potem nowy robotnik z cegielni już całe gospodarstwo wydzierżawił na trzy lata. Ten był gorszy, bo prowadził gospodarkę rabunkową. Okradł mnie na przeszło 3000 złotych. Rachował, że ja stary i chory umrę lada dzień i wszystko przepadnie. Chociaż żyję, skarżyć go nie mogę, bo ogłuchnąłem i nigdzie nie chodzę. Choruję na nogi niewyleczalnie.

6 listopada 1957 r. zaszedłem do swojego domu. Żona dzierżawcy po cichu przyszła z drugiej izby i popchnęła mnie tak silnie, że upadłem na ziemię i mordowała mnie przeszło pół godziny. Co się dźwignąłem: to mnie popchnęła. Tak mnie przewróciła może ze 30 razy, wyrzuciła mnie w pole i krzyczała na mnie: "Ty złodzieju". Mam lat 84, nikt mi nie powiedział "złodzieju", bo nic nikomu nie ukradłem. Ledwom wrócił i leżę piąty miesiąc.

*Posłuchajcie ludzie! Jest wypadek nowy.
Zdarzył się w Lipowym koło Limanowy.
Jest to szczerą prawdą, nie jakaś tam gadka.
Szalona Biedrońka mordowała dziadka,
Co dziewiąty krzyżyk dźwiga na swym grzbiecie,
Nie może pracować dalej na tym świecie.*

*Rzuciła po ziemi jako słomy snopem,
Bo dziadek jest słaby, bo już nie jest chłopem.
Tak go mordowała przeszło pół godziny
W jego własnym domu i bez żadnej winy.
Ma siłę buhaja lub dobrego konia.
Ta szalona baba jest żoną Biedronia.
Wysiedziała ją kwoka, nie zrodziła matka,
Ma naturę smoka, istna waryjatka.
Za trzy tysiące złotych skradli jego zbiory,
Nie mógł siebie bronić, bo był bardzo chory.
Kradli śmiało, bo chory skarżyć ich nie może.
By jak najprędzej umarł, daj to Panie Boże!
Dziadek cztery miesiące leży, ale żyje
I jeszcze o Biedroniach pisze poezyje.
Strzeżcie się sąsiedzi i wy też sąsiadki
Tej Staszkowej Biedrońki, istnej waryjatki!*

HISTORIA DWORU W LIPOWEM.

Pan Srokowski herbu "Jastrzębiec" dwór sprzedał ks. Janowi Duszyńskiemu, proboszczowi w Limanowej. Po pewnym czasie dziedzic Srokowski chciał dwór odebrać, bo go sprzedał za tanio, prawie za las, a dwór za darmo poszedł, ale ks. Duszyński już założył szpital na 10 dziadków, którzy oprócz mieszkania ze dworu mieli brać pewną część zboża i na tym kupno się utrzymało.

Po śmierci ks. Duszyńskiego na proboszcza limanowskiego nastał ks. Jan Werpecha /1806 - 1877/, rodem góral. Gospodarzył na całych 145 ha. Chłopów z Lipowego nazywał "księżemi dziećmi", bo mu obrabiali dwór i całe gospodarstwo. Zmarł w roku 1877. Byłem na jego pogrzebie. W kościele po tęczę miejsce zajmowali sami księża.

Następcą ks. Werpechy został ks. baron Jan Borowski /1820-1890/. Dwór on wydzierżawił Żydowi za 500 złr. rocznie i do tego dawał mu 12 sągów drzewa na opał oraz 2 buki na materiał. Gdy umarł ks. Borowski, 6 panów zaczęło go nieść. Ledwo wyszli z kościoła, więc wzięło go 4 chłopów i odnieśli na cmentarz.

Po nim nastał ks. Kazimierz Łazarski /1858 - 1944/, rodem mieszczanin, który wybudował wspaniały kościół z kamienia. Był tu jakiś znawca, który powiedział, że

takie kościoły są tylko dwa w Europie. Ks. Łazarski ze dworu usunął Żyda, a ten majątek wydzierżawił chłop Trojanowski na gorszych warunkach, bo za 1000 reńskich, a drzewo na opał musiał sobie kupić. On miał dwa gospodarstwa: pięcio i osiemnastomorgowe. Kiedy groziło mu bankructwo, w r. 1903 na morgi chłopom wydzierżawił odleglejsze grunta uprawne i całe odłogi, które stanowiły połowę dworu. Ja mierzyłem i sam wydzierżawiłem 2 morgi. Jednak to Trojanowskiego nie uratowało. Tak się dorobił, że obydwaj jego gospodarstwa poszły na licytację i sam został dziadem bez dachu nad głową. Ale pode dworem była wdowa z małym gospodarstwem, z którą po raz trzeci się ożenił i na starość chwycił się pracy, bo całe życie nie pracował.

Dzierżawcy - chłopci nie mieli żadnych ugód pisemnych. Tylko zapisano w ksiąźce, że z morga rocznie mają płacić 10 złr. Gdy Trojanowski ustąpił z dzierżawy, ksiądz resztówkę trzymał dalej, a drobni dzierżawcy ciągle byli nienaruszeni.

W pierwszą wojnę od granatu spalił się dwór. Zostały tylko stajnie murowane z kamienia i spichlerz. Dwór odbudowano o połowę mniejszy.

Po śmierci ks. Łazarskiego proboszczem limanowskim został ks. dr Ludwik Kowalski /1901 - 1983/, rodem z sąsiedniej wsi Koszary. On, gdy rząd, który nazywa się ludowym, upaństwowił las plebański o obszarze 365 morgów, dziadków przeprowadził do dworu i tam co niedziela dla nich odprawiano Mszę św., ale to nie pomogło. Z kolei rząd zajął dwór, a dziadków gdzieś wywiózł i nikt ich już nie widział. Dzierżawcy wówczas byli nienaruszeni.

Odtąd na resztówce gospodarzył PGR. W pierwszym roku nasadził ziemniaków 5 ha. Po wykopaniu złożono je w kopce 50 metrów długie. Jakiś pan z papierem w ręku rozkazywał robotnikom, jak mają robić. Do wiosny wszystkie ziemniaki zgniły, bo nie zrobili parników i się udusiły.

PGR był 2 lata. Resztówkę oddał spółdzielni produkcyjnej w Pisarzowej, oddalonej 10 km, ale i to się nie podobało. Po wsi i okolicznych wsiach gromadami chodzili pankowie, którzy obiecywali złote góry, aby założyć spółdzielnię na miejscu i ją założyli z 20 członków z siedmiu wsi. Z Lipowego do niej zapisało się dwóch. Ona dzierżawcom odebrała grunta i zburzyła stajnię murowaną z kamienia, a wystawiła luksusową o 35 oknach. Również za dworem zbudowała okazały kurnik, ogrodzony siatką drucianą.

Dwór Lipowe stoi na wierzchołku góry 640 m wysokiej. Ma grunty kamieniste,

a podglebie płytkie i nieprzepuszczalne. Gdy zaczęto głębiej orać traktorami, wydostano masę kamieni i ziemię jałową. Pomimo, że siano dużo nawozów sztucznych, urodzaje były liche. Do zbierania kamieni przyprawiono dzieci szkolne, które ma-
ło pomogły. Drugi raz je i dwie kobiety użyto do brania lnu, którego zasiano dwa hektary. Dzieci spodrzynały palce i nic nie zrobiły. Spółdzielni brakowało ludzi do pracy. Gdy nastały żniwa, do roboty w niej przychodzili robotnicy z tartaku i bednarni z Łososiny Górnej. Raz trzy dziewczyny wstąpiły u mnie pić wodę. Widzę te nieznajome i je pytam:

- Skądęście?

- A z Łososine z bednarnie.

- Czego wy tu chcecie?

- Wysyła nas bednarnia.

- Musicie to iść?

- Musimy, bo bymy straciły robotę.

- Ale wam bednarnia zapłaci?

- No zapłaci, ale tam robimy 8 godzin, a tu 16, a droga tutaj i z powrotem zajmuje 2 godziny.

Po dwóch latach spółdzielnia upadła. Po niej zostało tylko kamieni jak na rzece i wielki dług. Kto go będzie sponował, nie wiem.

Potem dzierżawców zgromadzono do dworu, gdzie każdemu urzędnik na własność oddał to, co dzierżawił. I mnie oddał 1 ha 18 a. Później się okazało, że tego nie będę miał, chociaż dzierżawiłem 52 lata i czynszu wypłaciłem przeszło 400 dolarów, za co byłbym kupił 5 morgów. Córka jeździła do województwa, pisałem do radia, do gazet do Rady Państwa. Wszystkie pisma poszły do województwa, skąd je przesłano do Limanowej Chrapkiewiczowi, który co raz zrobił, już tego nie poprawił, zresztą nie było to za darmo. 60 dzierżawców otrzymało grunt na własność, a moją dzierżawę po połowie za wódkę i łapówkę wzięli Jan Michalski i Stanisław Trojanowski, którzy potem przez kilka tygodni ku wieczorowi chodzili pijani.

Drugi z nich zwany jest więźniem spirytusowym. Za okupacji był robotnikiem w Rafinerii. Jednego razu tam przyszła cysterna spirytusu zamiast benzyny. Pili go tak Niemcy, jak i robotnicy, a że ów Trojanowski córce sprawiał wesele, obficie nabrał sobie spirytusu. Chwycili go Niemcy i 2 lata siedział w areszcie w Nowym Sączu. Gdy go władze polskie wypuściły, zapisał się do partii i jako więzień polityczny dostał pensję dożywotnią, a na polityce zna się jak kura na kompasie.

Ja mam 85 rok. Choruję na nogi, jestem sam i nie mogę się bronić. Siedmiu chłopów zabrało ziemię nigdy przez siebie nie dzierzawioną, z tego trzech już ją wysprzedano.

KILKA SŁÓW O WÓDCE

W sąsiedniej wiosce ksiądz poświęcał karczmę po Żydzie, gdzie miał mieszkać katolik i powiedział:

- Wódka nie diabeł, piwo nie diabeł, wino nie diabeł, ale opicie się diabeł.

Przed 80 laty pijaństwo bardzo się rozpowszechniło. W każdej wsi istniały dwie albo trzy karczmy, a wódka była tania. Dzisiaj nie ma karczem, a jeden pan mi mówił, że powiat limanowski wypił wódki za 40 milionów złotych. Nie do uwierzenia!

Siedemdziesiąt lat temu u nas były misje przeciw pijaństwu, po tygodniu dla żonatych mężczyzn, kawalerów, kobiet i dziewczyn. Komu innemu do kościoła nie wolno było wejść. W każdym dniu były cztery kazania, głoszone przez 4 misjonarzy. W czwartym dniu każdego tygodnia odbierano ślubowanie od wódki. Wszyscy klękaliśmy, misjonarz z ambony nam czytał, a my mieliśmy powtarzać, ale gdzie tam. Mało kto ślubował i ja też nie, bo miałem lat 15; gdzież to było ślubować? Ale misjonarze mieli sposób. Po spowiedzi pytali:

- Ślubowałeś?

- Nie.

- Za pokutę masz ślubować.

Toteż wszyscy ślubowali i ja również, przez co nie piłem wódki 20 lat.

Wódka jest lekarstwem.

Poszedłem na jarmark. Mróz był silny i zimno, a miałem katar. Ujrzał mnie szwagier i zawołał na piwo, które było zimne jak lód. Gdyśmy wypili po dwie szklanki, w żołądku uczułem ostry ból. Ledwo wróciłem do domu. Chorowałem półtora roku. Nie leżałem, bo chodziłem do roboty budowlanej, ale ciągle czułem ostry ból w żołądku, gdzie mi się załęgła masa robactwa, takie maleńkie glisty. Radziłem, co tylko mogłem. Nic nie pomagało.

Ujrzałem się z kolegą, który mnie zapytał:

- Co tobie jest, że wyglądasz jak trup?

Opowiedziałem mu, a on rzekł:

- Ty masz tasiemca. Kup pół litra rumu i rano na czczo wypij. Będziesz leżał, ale go strujesz.

Kupiłem pół litra rumu i w niedzielę rano w stodole zrobiłem sobie legowisko. Od razu rum wypilem, ale nie leżałem. Czułem się tak, jak bym wypił wody. Wygnałem krowy i je pasłem do śniadania, przy którym żona do mnie mówi:

- Così od ciebie śmierdzi i śmierdzi.

Ona poszła na ranną mszę, a ja na sumę. Zrobiło się mi lepiej. Przez tydzień w mieście byłem u roboty i w każdy dzień sobie wypilem po dwie piotynówki. Tym sposobem wyleczyłem się zupełnie. Drugi raz trzy tygodnie chorowałem na czerwonkę. Teść wydawał córkę i miało być wesele. Żona gwałtownie mnie namawiała, żeby na niego iść. Ona poszła, bo była zdrowa. Nas chorowało troje: ja, córka i syn. Jednak się zebrałem i udałem na to wesele. Ono już wyruszyło do kościoła. Mnie ktoś dał dwa kieliszki wódki, ale to było mało. Szwagra zapytałem:

- Macie jeszcze wódkę?

- Jest w piwnicy. Chodź!

Wypilem jeszcze trzy kieliszki. Obszedłem na ślub, ale wszystkie jelita, chciało mi potargać. Ledwo wróciłem do chaty, ale się wyleczyłem.

Była hiszpanka. Na nią ludzie umierali jak muchy. Gdy byłem, w mieście, na cmentarz wyszło 7 trumien. Bardzo rzadko trafiały się dwa pogrzeby. Moja żona też chorowała na hiszpankę. Doktor jej zmierzył gorączkę - 41 stopni. Rozłożył ręce, że nie ma ratunku. Ale nie umarła.

Z synem w las pojechałem po drzewo. Gdy byliśmy w połowie drogi, nagle syn zachorował. Ponieważ mi nie chciało się wracać próżno, mówię mu:

- Siądź na wozie. Może jakoś dojedziemy.

Siadł ale narzekał że trzęsie. Zlazł i szedł, trzymając się wozu. Gdy wjeżdżaliśmy w las, poczułem się tak, jakby mnie kto pałką uderzył w głowę. Zachorowałem. Ledwo dojechaliliśmy do domu. Miałem wódkę. Wypilem dwa kieliszki i syna namówiłem. Też wypił dwa i poszliśmy leżeć. Ku wieczorowi obydwaj wstaliśmy zdrowi.

Wódka jest trucizną.

Jednej niedzieli, gdy ludzie powrócili z kościoła, rozpętała się gwałtowna burza. Lało jak z cebra. Jednak wnet się wyjaśniło i poszedłem na nieszpory. Idąc, ujrzałem coś w fosie zamulonego tak, iż woda wylała się na drogę. Gdzie było mniej za-

mulone, powstała czapka pian. Z ciekawości je odgarnąłem ręką. Jest nos! O, to człowiek! Chwyciłem go za ramiona i fosą ciągnę na dół. Wstaje Stanisław Biedroń, murarz i dawny wójt, a pijak. Gdybym go nie wyratował, byłby żywcem pogrzebany.

Wincenty Biedroń, człowiek mądry, 19 lat był wójtem i pisarzem w 4 gminach. Co dzień urzędował w szynku i się upijał. Do niego ludzie przychodzili z różnymi sprawami i każdy stawiał wódkę. Gdy szedł do domu, w połowie drogi umarł zaduszony alkoholem.

Andrzej Biedroń był sołtysem i pijakiem. Jego syn Franciszek, sołtys, pijak i człowiek uczciwy, pracował w owocarni w Tymbarku, a później urzędował na stacji kolejowej w Limanowej. Z kolegą szedł do domu. Wstąpił do szynku. Tam musiał się opić, bo auto zabiło go na gościńcu. Zostawił żonę, dzieci i gospodarkę. Tego roku po pijanemu się utopił kowal Wincenty Janczy z Mordarki. Nie wiem gdzie, bo jego droga prowadziła asfaltową szosą, a w potoku nie było wody.

Dawno często ujrzał pijanego, jak leżał. Też dało się słyszeć, że umarł ten a ten, bo wódka w nim się zapaliła, to jest zadusił go alkohol.

*Wódeczka złoto, nie rzucaj mnie w błoto.
Proszę cię łaskawie, osadź mnie na ławie.
Pijaku, pijaku! Cóż po tobie w niebie,
Kiedy tam gorzałki nie robią dla ciebie.
Dajże się pochować w szynku pod szynkwasem,
To ci po śmierci kapnie wódki czasem.*

Ocet jest lekarstwem.

Doktor we dworze szczepił dzieci. Matka wysyłała mnie do niego, ale nie poszedłem. Kiedy po południu już śliny nie połknąłem i trudno mi było oddychać, do dworu w Mordarce udałem się do lekarza, który po zbadaniu mi powiedział:

- Przydziesz za 3 tygodnie, to przebijemy. Tam się obiera. Żebyś był przyszedł dwa dni pierwej, to byśmy byli rozegnali. Teraz już nie pomoże, bo się obiera. Utrzyć chrzanu, zarobić octem i przyłożyć.

Sobie myślę: To mnie przez noc zadusi.

Kupiłem octu. Gdy wróciłem, ukopałem chrzanu, go natarłem, zrobiłem plaster, przyłożyłem na szyję i poszedłem spać. Rano obudziłem się całkiem zdrowy.

Bardzo bolał mnie ząb. Do mnie przyszedł wiejski dentysta i mi go zerwał. Ka-

załem mu brać drugiego, bo chciałem, żeby krew uszła. Zerwał mi i tego. Dopiero się dowiedział, co to znaczy ból. Żęby ścięło mi tak, jakby zlutował. Czternaście dni nie spałem i nic nie jadłem.

Odwiedził mnie Józef Bek, który otworzył okno, przewietrzył małą izbę, bo był zaduch, i żonę wysłał do miasta po ocet, żeby nim całego mnie wytarła. Po tym zabiegu, jak usnąłem, to się obudziłem za 22 godziny. Zrobiło mi się lepiej. Wyszedłem na pole. Było ciepło. Chciałem zapalić fajkę, bo nie paliłem 14 dni. Ale jak zapalić, kiedy zęby ściśnięte. Próbowałem troszkę gdzie zawadzić, aż mi pękło coś w ustach. Zęby mi się otworzyły na całe wrota i lała się i lała ropa i krew. Dziwiłem się, skąd tyle tego się wzięło w głowie. Wylało się może z litr. Gdy ustało, zapaliłem fajkę i pociągnąłem, ale spluwałem krwią. Tak się działo jeszcze coś pół roku.

Po tym przeżyciu już nie dawałem zębów brać. Wszystkie mi wyleciały bez bólu, nie od razu - po jednym. Najpierw wypadły mi pniaki zerwane przez wiejskiego dentystę. Ostatni ząb mi wyleciał w siedemdziesiątym roku życia i teraz prawie 20 lat jestem bez zębów. Bez nich bieda jak bez ręki.

ZAKOŃCZENIE

W ciągu swojego długiego życia byłem rolnikiem, stolarzem, 15 lat robotnikiem budowlanym, 30 lat pisarzem gminnym, 4 lata wójtem, za darmo: założycielem i prezesem Koła Stronnictwa Ludowego, skarbnikiem Zarządu Powiatowego Stronnictwa Ludowego, członkiem Rady Powiatowej, 15 lat korespondentem Statystyki Rolnej, 20 lat pisarzem brackim, leczyłem bydło, zabijałem świnie, mierzyłem grunta, pisałem testamenty, chodziłem na komisje godzić ludzi. Przy tylu zajęciach mało miałem czasu na pisanie do gazet. Dzisiaj jestem niczym. Leżę. Na parę godzin wstaję i piszę, ale to mi nie idzie, bo ręka skacze jak wariat i pamięć zawodzi. Napisałem już dwa obszerne pamiętniki. Są w Warszawie.

*Nie cieszą mnie już nawet moje poezyje.
Zestarzał się człowiek i już ledwie żyje.
Mam już lat bez mała aż półtóry kopy.
W tych rokach już pisać nie możemy chłopy.
Spracowana ręka skacze w różne strony,
Nie ma już lekarstwa dla swojej obrony.
Śmierć po domach chodzi, młodych ludzi zmiata,
Stary się wybiera w drogę z tego świata.
Człowiek się wybiera co dzień, co godzina,*

*O swoim pisaniu całkiem zapomina.
Niech ludzie uczeni piszą poezyje,
Człowiek se przeczyta, dokąd jeszcze żyje.*

Uwaga: Józef Strug zmarł 8 kwietnia 1961 r. Spoczywa na cmentarzu parafialnym w Limanowej. O nim pisano w 23/58 nrze "Aktualności Ziemi Limanowskiej", 1/40 nrze kwartalnika "Mater Dolorosa", 69 nrze "Czasu Krakowskiego" z 24 marca 1993 r. oraz *Antologii współczesnej poezji ludowej*, Warszawa 1967.

W tekście zachowano oryginalną pisownię autora.

Małgorzata Nowak

WIERSZE

* * *

*Pozbieraj
okruszki naszego wspólnego życia
zanim odejdiesz.*

*Pozbieraj,
bo kiedyś będziesz głodny.*

* * *

*Drżąca łza spłynęła
na rozbite
nadzieje*

*I stałeś się
by mnie kochać.*

* * *

*Myślałam:
anioł ma skrzydła
i długą białą szatę...*

*A on nosi sprane dżinsy,
lubi kawę
i prosi: "Wyjdź za mnie".*

* * *

*Zanim zrozumiesz;
zastukam obcasami na płycie chodnika,
rozbiję czerwony kubek,
kupię chleb w sklepiku na rogu.*

*Zanim zrozumiesz;
przemierzysz lądy i morza,
zmienisz świat,
może dostaniesz Nobla*

*zanim zrozumiesz...
że liczy się człowiek.*

* * *

*Moje okno na świat
ma nieodgadnione oblicze
i grywa w tenisa.*

*Czasem nosi mnie na rękach
i widzę wtedy
firanki pierwszych zmarszczek
wokół jego oczu.*

*Moje okno na świat zamyka się
z trzaskiem
kiedy chce mnie mieć
tylko dla siebie.*

* * *

*Jesteśmy wieżą Babel,
niemymi lingwistami.
Rozumiemy, co mówią inni,
ale ich nie słuchamy.*

Jesteśmy różnymi piętrami...

* * *

*Anioł mój
powiesił skrzydła
w szafie.*

*Gdziekolwiek jestem z tobą
mówi -
u siebie jestem:
w raju.*

* * *

*Jestem jak czarny anioł -
upadłam.*

*On ma skrzydła,
może się wzbić.*

*On ma skrzydła...
ale to Ja powstałam!*

* * *

*Wspólne zmartwychwstanie
z szarych kamyków wspomnień
porcelanowych okruchów nadziei
setek niedopowiedzeń
tchnień
co to jak bielizna w koszu
czekają na swój finał
powieszenie w słońcu
dokończenia*

NIEZAWINIIONA WINA

*Cóż on winien?
Nie dałaś mu przydeptanych kapci,
obecności swojej,
namiętności nakrytej wspólnym prześcieradłem,
czerwonego kubka z pękniętym uchem rozmów...*

*Odszedł?
Jej oczy są bardziej niebieskie
od twoich piwnych,
tak podobnych do jego...*

PROPOZYCJA

*Moje marzenia - kryształowy kielich
Moje nadzieje - porcelanowa filiżanka
Ich okruchy leżą pod ciężkimi buciorami losu
Moje działania daremne:
nie posklejam rozbitych naczyń...
Już wiem:
Losie! Załóż kapcie*

ZNIKNIENIE

*Ach, gdyby tak zniknąć...
Zamienić się w kupkę zmurszałego niebytu,
nie pamiętać kadrów z życia,
którego taśma przewija się ciągle za szybko.*

*Ach, gdyby tak zniknąć...
Zostawić za sobą pogoń dni,
niedokończone prace,
fotografię, gdzie ty i ja...*

*Ach gdyby tak zniknąć...
Za chwilę,
aż zdjęcie bardziej wyblaknie.*

Jerzy Giza

PATRIOTYCZNY BUNT W 32. PUŁKU PIECHOTY OBRONY KRAJOWEJ "NEU SANDEZ"

W czterech kolejnych zeszytach "Almanachu Sądeckiego" z 1998 roku pisałem o powstaniu i działalności organizacji "Wolność", a także przedstawiłem późniejsze losy życiowe konspiratorów z 20. galicyjskiego pułku piechoty, który miał swe rejonowe werbunkowe głównie na Sądecczyźnie i Podhalu. Działalność niepodległościowa prowadzona przez Polaków w tym pułku była na tyle dobrze utajniona i prowadzona przy całym rygorze rozkazodawczym i wykonawczym, iż uniknięto przedwczesnej dekonspiracji, a co za tym idzie, doraźnych sądów wojennych i wyroków ciężkiego więzienia, a nawet śmierci.

Podobną pracę niepodległościową (choć znacznie później i z gorszymi efektami) podjęto u schyłku 1917 roku w 32. pułku piechoty Obrony Krajowej "Neu Sandez", który składał się w większości z Polaków (około 91%) z powiatów bocheńskiego, brzeskiego, sądeckiego i tarnowskiego. Pułk ten walczył wówczas na froncie rosyjskim. Inicjatorami pracy niepodległościowej byli ówcześni tzw. "jednorocznicy ochotnicy" (kandydaci na oficerów rezerwy): **Władysław Kukła** (z I batalionu), **Adam Suski** i **Karol Zwoliński** (z II batalionu), a także podoficerowie: **Józef Chajnor**, **Jan Ciuruś**, **Władysław Kusior**, **Jan Kuziel** i **Władysław Majewski**. Na początku skoncentrowano się na akcji uświadamiającej, prowadzonej wśród żołnierzy poprzez poufne rozmowy z podoficerami, a pogadanki z żołnierzami. Kiedy na front rosyjski dotarła do Polaków informacja o zawarciu przez Austro-Węgry tzw. pokoju brzeskiego (luty 1918 r.), akcja uświadamiania żołnierzy przybrała na sile tak, że - jak pisze w swej relacji Karol Zwoliński - "... postanowiliśmy wszcząć akcję zrywania bączków austriackich z czapek i odsyłania

ich wraz z odznaczeniami dowódcy pułku płk. Karolowi Schubertowi, a także odmówić posłuszeństwa i przeciwstawić się wysłaniu pułku na front włoski...". Kulminacyjny moment nastąpił 14 marca 1918 roku kiedy to w I batalionie 32. pułku piechoty napisano odezwy do żołnierzy i rozpoczęto je kolportować (z akt Sądu Polowego wynika, iż jedna była następującej treści: "...Walczymy już parę lat, cierpimy głód, a Polska została oddana Ukrainie. Nie mamy powodu, aby dalej walczyć. Koledzy rzucajcie broń, albo ruszajcie przeciwko tym skurwysynom oficerom! I tak do Włoch nie pójdziemy!...").

Zapanował entuzjazm, ale równocześnie na skutek braku doświadczenia i jednolitego kierownictwa akcja przebiegała chaotycznie i wymknęła się spod kontroli. Nie zadbano o dyscyplinę. Tak opisał te wydarzenia Karol Zwoliński: "... Część żołnierzy dorwała się do rumu i spiła się. Zaczęła śpiewać patriotyczne pieśni i strzelać z karabinów, co zaalarmowało dowództwo pułku i ułatwiło powzięcie decyzji represyjnych w stosunku do pozostałych batalionów, do których wieść jeszcze o wypadkach w I batalionie nie dotarła...". Na efekty tego stanu rzeczy nie trzeba było długo czekać. Działania nie skoordynowane w żaden sposób z pozostałymi batalionami pułku pozostawiły je w zupełnej nieświadomości co do powodów i celu buntu, skazując na bezczynność.

W tym czasie w I batalionie przepędzono oficerów Austriaków i Czechów (tylko oni bowiem zajmowali stanowiska dowódcze w sztabie batalionu i poszczególnych kompaniach), zdjęto z czapek bączki austriackie, z mundurów odpięto odznaczenia, zerwano połączenie telefoniczne z dowództwem pułku. Akcją starał się kierować Władysław Kukła. W ciągu nocy i nad ranem 15 marca 1918 roku dowództwo 46. dywizji strzelców (w skład której wchodził 32. pułk piechoty) zorganizowało akcję pacyfikacyjną i przy pomocy oddziałów składających się głównie z Austriaków i Czechów opanowało sytuację. Początkowo chciano się bronić, ale wobec wielkiej przewagi, zrezygnowano z czynnego oporu, choć nie obyło się bez utarczek. Otoczony ze wszystkich stron I batalion poddał się bez walki, nie mając szans przebicia się na rosyjską stronę frontu. Aresztowano około 100 żołnierzy i podoficerów. Pułk natychmiast przetransportowano na front włoski, gdzie postawiono aresztowanych przed Sądem Polowym 46. dywizji strzelców w miasteczku Roveredo.

Proces rozpoczął się 11 kwietnia, a zakończył 16 tegoż miesiąca 1918 roku. Przewodniczył mu major **Józef Harz** w towarzystwie kapitana audytora **Gustawa Rudki**, **Tadeusza Weppera** i **Fryderyka Horowitza**. Oskarżał kapitan audytor **Antoni Knotek**. Oskarżonych bronili porucznicy audytorzy: **Andrzej Bystron**, **Aleksander Kuczera** i **Jan Żurawski**. Mimo obrony prowadzonej z wielkim zaangażowaniem, 23 kwietnia 1918 roku zapadły wyroki skazujące, choć stosunkowo

łagodne, jak na austriackie wojskowe przepisy obowiązujące podczas wojny. Było to wynikiem słabości Austrii, która chyliła się ku upadkowi i nie chciała spowodować - zbyt dużą restrykcyjnością - jeszcze gwałtowniejszego wybuchu w "polskich pułkach", co do których miała pewność, że pracę niepodległościową prowadzą. Tak wspominał to Karol Zwoliński: *"... Nie zapomnę chwili i uczucia jak po wyroku na ziemi włoskiej wyprowadzeni pod eskortą zaśpiewali **Jeszcze Polska nie zginęła**. Widziałem wówczas tży w oczach dr. Bystronia, porucznika Soczka i innych oficerów Polaków ..."*. Do odbycia kary więzienia przewieziono ich do twierdzy wojskowej koło Wiednia (Mollersdorf), a następnie (pod koniec czerwca 1918 roku) do więzienia wojskowego w Wiśniczu.

W procesie skazani zostali następujący żołnierze 32. pułku piechoty Obrony Krajowej "Neu Sandez": **Sebastian Bardek, Franciszek Brzeźny, Józef Chajnor, Stanisław Cholewa, Jan Ciuruś, Paweł Czerep, Piotr Filipiak, Michał Furcol, Jan Gackowicz, Władysław Gądek, Władysław Gembala, Aron Goebel, Markus Goldberg, Władysław Gondek, Stanisław Grocholski, Jan Jamróż, Piotr Jarek, Jan Jurkowski, Wojciech Konieczny, Jan Kożuch, Stanisław Król, Władysław Kukła, Stanisław Kukuczka, Władysław Kusior, Jan Kuziel, Franciszek Kwaśniowski, Andrzej Łądek, Władysław Leśkiewicz, Jan Leśniowski, Jan Łopata, Jan Majca, Władysław Majewski, Stanisław Michałek, Stanisław Obrzut, Stanisław Osika, Sebastian Paluszek, Andrzej Przyboś, Alojzy Radzik, Karol Ruszaj, Andrzej Sojka, Stanisław Stawiarski, Jakób Sternal, Jan Stolarz, Jan Zając**. Większość z w/w skazana została z paragrafów dotyczących: zbrodni buntu, przestępstwa naruszenia subordynacji, przekroczenia dyscypliny w takim czy innym zakresie. Kary wahały się od 9 lat więzienia do 1 roku oraz towarzyszyły im degradacje i pozbawienie posiadanych odznaczeń wojskowych, a także adnotacja w ewidencji pułkowej poczyniona przy nazwisku każdego z nich: "P.V." (Politisch Verdachtig - politycznie podejrzany).

Odbywających karę – żołnierzy 32. pułku piechoty Obrony Krajowej "Neu Sandez", upadek Austro-Węgier zastał w więzieniu w Wiśniczu. 31 października 1918 roku w batalionie zapasowym tegoż pułku stacjonującym w pobliskiej Bochni dokonano skutecznie antyaustriackiego przewrotu wojskowego. Na jego czele stanął były oficer 20. galicyjskiego pułku piechoty i komendant organizacji "Wolność" kapitan **Jerzy Dobrodzicki**. Jego najbliższym pomocnikiem był ówczesny ppor. Karol Zwoliński, który tak wspominał ten czas: *"...dzięki istnieniu tajnej organizacji w pułku, na skutek uświadomienia narodowego i z góry wyznaczonej obsady stanowisk w pułku po przewrocie, mogliśmy zaraz w pierwszych chwilach wykazać*

siłę i oprzeć się zdemoralizowanym tłumom, przejąć cały majątek batalionu i rozpocząć gospodarkę na małym odcinku, ale już w wolnej Polsce...".

Więzienie w Wiśniczu otwarto dopiero po paru dniach, wypuszczając więźniów partiami i eskortując - szczególnie tych obcej narodowości - na dworzec kolejowy. Rozporządzeniem Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie z dnia 5 listopada 1918 roku wszyscy "politycznie podejrzani", którym poświęcony jest ten artykuł, zostali awansowani automatycznie o jeden stopień, licząc od rangi takiej, jaką mieli przed ich degradacją w kwietniu 1918 roku (wyjątkiem był starszy żołnierz Jakób Sternal, który 3 listopada 1918 roku samowolnie oddalił się). Wszyscy pozostali wstąpili natychmiast do służby w Wojsku Polskim. W Bochni bowiem na bazie byłego austriackiego batalionu zapasowego 32. pułku piechoty powstawał oddział, który dał nieco później początek 2. pułkowi strzelców podhalańskich. Jednym z jego pierwszych żołnierzy stał się na krótki okres listopadowej służby u progu niepodległości sierżant-podchorąży Władysław Kukła, o którym w pośmiertnym wspomnieniu na łamach "Głosu Podhala" **Jan Bogucki** pisał: *"...Kukła dostał rozkaz uśmierzenia rozruchów (spowodowanych przez wypuszczonych z więzienia w Wiśniczu kryminalistów - przyp. autora), ale po kilku dniach pełnienia służby był zupełnie wyczerpanym, tak że przewieziono Go do szpitala w Bochni. Wszelkie zabiegi okazały się bezskuteczne, organizm nie wytrzymał. Nie dane Mu było ani usłyszeć rozkazu pochwalnego, który właśnie w dzień śmierci przyszedł, a również i nominacji. Zobaczyły biedne oczy Wolną Polskę, ale oczy, które za chwilę miały zgasnąć. Pochowany z wszystkimi honorami wojskowymi, spoczął w ukochanej przez siebie Ziemi Polskiej...".*

1. Władysław Kukła (1896-1918) Urodził się w Nowym Sączu 15 lipca 1896 roku. Był absolwentem ck Gimnazjum II. Od wiosny 1915 roku jako żołnierz II Brygady Legionów Polskich walczył na froncie rosyjskim w Karpatach, gdzie został ciężko ranny. Po długiej rekonwalescencji wcielony został w 1917 roku do 32. pułku piechoty Obrony Krajowej "Neu Sandez". Aresztowany przez austriackie władze wojskowe w marcu 1918 roku, był skazany na 9 lat i więziony do początku listopada tegoż roku. Po wyjściu na wolność wstąpił ochotniczo w Bochni do formującego się oddziału Wojska Polskiego. Otrzymał stopień sierżanta-podchorążego. Zmarł w Bochni 28 listopada 1918 roku i pochowany został na miejscowym cmentarzu.

2. Adam Suski (1893-1939) kapitan służby stałej WP. Awanse: ppor. 1917, por. 1922, kpt. 1924. Służył m.in. w 2. pułku strzelców podhalańskich, 83. pułku piechoty w Kobryniu. Podczas kampanii wrześniowej 1939 roku był zastępcą kwartmistrza 30. dywizji piechoty. Poległ 12 września pod Żyrardowem. Odznaczony był m.in. pośmiertnie Orderem Wojennym Virtuti Militari V klasy (za 1939 r.)

i Krzyżem Walecznych (za 1920 r.).

3. **Karol Zwoliński (1892 – do 1939)** kapitan służby stałej WP. Awanse: ppor. 1916, por. 1918, kpt. 1922. Służył m.in. w 2. pułku strzelców podhalańskich i w 4. pułku strzelców podhalańskich w Cieszynie, a do 1939 roku w Dowództwie Okręgu Korpusu w Poznaniu. Dalsze jego losy nie są znane.

4. **Brzeski traktat pokojowy** - między Niemcami, Austro-Węgrami, Bułgarią i Turcją a Ukraińską Republiką Ludową podpisany 9 lutego 1918 i 3 marca 1918 roku w Brześciu Litewskim. Przewidywał m.in. przyłączenie do Ukrainy Chełmszczyzny, co stało się przyczyną gwałtownych polskich protestów politycznych, społecznych i wojskowych (przedarcie się II Brygady Legionów Polskich pod Rarańczą na rosyjską stronę frontu).

5. **Andrzej Bystron (1891-1918)** porucznik rezerwy armii austro-węgierskiej. Doktor praw. Członek Organizacji Młodzieży Narodowej "Pet" w Krakowie i Związku Młodzieży Polskiej "Zet", działacz skautingu i Polskich Drużyn Sokolich. Poległ na froncie włoskim.

Józef Bieniek

WOJENNE LOSY SĄDECZAN

DLA CIEBIE POLSKO!

W słownictwie patriotycznym istnieje wiele pięknie brzmiących powiedzeń, bogatych w historyczną treść, ale nie zawsze odpowiadających pełnej prawdzie. Oto jeden z przykładów.

Tysiące kobiet polskich straciły w latach ostatniej wojny najdroższe im osoby: jeśli zginęły na frontach wojennych, w obronie granic ojczyznianych, za wolność i godność narodu - dotknięte stratą - płacząc, mogły uspokajać serca słowami: Dla Ciebie Polsko... Ale czym mogły uciszyć ból te, których ukochani, pognani do niewoli po 17 września 1939 r., zginęli na rozkaz szatanów z Kremla, z zemsty za 1920 rok, w Katyniu, Ostaszkowie, Charkowie i w tysiącach ludobójczych aktów na placach zbrodni oraz w więzieniach i łagrach na skutej wiecznym mrozem i wieczną nienawiścią nieludzkiej ziemi? Ale sięgnijmy do konkretów.

*

Z sądeckiej dzielnicy Nowa Kolonia, z kolejarskiego domu przy ul. Wyspiańskiego, z kolejarskiej rodziny **Ryszarda i Julii Półchłópków** wywodziło się trzech tragicznych braci: **Edward, Kazimierz i Mieczysław**. Ale wbrew życzeniom rodziców - żaden z nich nie podjął kolejarskiego zawodu. Chłopcy inteligentni, zdolni i ambitni - chcieli się kształcić, rosnąć i pójść w życie, ku wymarzonemu celom, o własnych siłach. Wszyscy, w jakiś sposób, powiązali się z wojskiem, i wszyscy zginęli w mundurach... Przypatrzmy się ich losom, według kolejności urodzin.

1

Edward, urodzony 20 listopada 1912 r. w Przemyślu. Po służbowym przeniesieniu ojca do kolejnictwa w Nowym Sączu - Edward ukończył tu II Gimnazjum,

i po maturze podjął naukę w Szkole Podchorążych Piechoty, z przydziałem do 49. Pułku Strzelców Huculskich w Kołomyi. Na wrześniowy front poszedł z pułkiem w randze porucznika służby stałej. Wrześniowe losy huculskiego pułku przebiegały w sposób równie tragiczny, jak losy wszystkich jednostek Wojska Polskiego, które po 17 września 1939 r. dostały się w ręce sowieckie.



Edward Pólchłopek

Pułk huculski przez dwa tygodnie próbował bronić żołnierskiego honoru: naciskany przez przeważające siły wroga - szarpał napadami mniejsze oddziały "krasných bojców" – lub wymykał się i zapadał w lasy. Do czasu. Gdzieś pod koniec września, osaczony potężną chmarą żołdactwa - musiał się poddać.

Pędzeni z mnóstwem rannych i chorych, znaleźli się we Lwowie, gdzie mieścił się centralny na południu Polski punkt zbiorczy jeńców, z przeznaczeniem ostatecznym: obóz w Starobielsku.

Por. Edward nie pozostawił po sobie żadnych zapisków i wspomnień o swej

drodze do Starobielska. Na szczęście przeżył drogę i pobyt w Starobielsku rotmistrz 8. Pułku Ułanów im. ks. Józefa Poniatowskiego Krakowie, w cywilu świetny pisarz i europejskiej sławy malarz, **Józef Czapski**. Z jego książki pt. *Wspomnienia starobielskie* pozwolimy sobie pokazać przebieg transportu, na trasie Lwów - Starobielsk, transportu, którym por. Pólchłopek i tysiące oficerów - jechało - w kierunku Wieczności...

Czemu akurat w stronę wieczności? I teraz znów wypada odejść od pojedynczych losów, aby pokazać problem jako całość.

Sowieci, planując napad na Polskę i przewidując, na których terenach atak radziecki spotka się z najsilniejszym oporem - z góry wyznaczyli obozy dla jeńców rozbitych armii polskich.

Dla obszaru Wilna i Kresów północnych - na obozy takie przeznaczono Kozielsk i Ostaszków, dla sił broniących Lwowa - obozem stał się położony we Wschodniej Ukrainie, nad rzeką Ajdar - Starobielsk.

Tu właśnie, w początkach października 1939 r., znalazł się por. Pólchłopek z kilkoma tysiącami oficerów, w tym kilku generałami.

Grupa jeńców ruszyła ze Lwowa 28 września 1939 r. Po drodze w stronę Tarnopola żołnierze spotykali się raz po razie z odruchami braterstwa i wielkiej serdeczności wobec rozbrojonych Polaków. Z biednych, objedzonych przez ruskie wojsko, ukraińskich chat wynoszono nieszczęśnikom mleko i chleb.

Od Tarnopola skierowano jeńców w stronę Wołoczysk. Po drodze dołączały raz po razie kolumny Polaków, zganianych różnymi drogami, wyłapanych w terenie przez Czerwoną Armię.

I wreszcie most na Zbruczu, granica i pierwsze miasto sowieckie: Wołoczysk. Nędzne, zniszczone, szpetne domy, rzadkie lampki elektryczne i neonowy profil Stalina w miejskim ogródku - to wszystko.

W ostatecznym wyczerpaniu psychicznym i fizycznym, i w przenikliwym chłdzie jesiennym, wtłoczono około 2000 oficerów do stajni już zapchanych ponad dwoma tysiącami szeregowych.

Przetrzymano ich tam parę dni, które zesły na wielogodzinnym wyczekiwaniu w kolejce po pół menażki wodnistej zupy oraz na dotkliwym marznięciu i spisywaniu żołnierskich personaliów przez zaledwie umiejących pisać sowieckich cywilnych i wojskowych urzędników.

Po paru dniach pchnięto ich dalej. I znów czekanie wiele godzin w niekończącej się, zbitej kolumnie, czwórkami, do późnej nocy, w oczekiwaniu, aż doprowadzą do stacji, załadują i powiozą - Bóg wie gdzie!

Potem długie dnie w wagonach. Przyszły nagle mrozy i śniegi. Jechali w wagonach niezaplombowanych, po 40 ludzi w jednym. Na chłodno i głodno: w ciągu 6 dni jazdy - otrzymali 3 razy ciepłą strawę - w Kijowie, Charkowie i Doniecku. Poza tym dawano im chleb i wędzoną rybę.

W Starobielsku znaleźli się w pierwszej dekadzie października. Otoczono ich wagony psami milicyjnymi i poprowadzono ubogimi uliczkami w głąb miasta. Większość jeńców pomieszczono w gmachach poklasztornych, resztę w jakimś więzieniu czy urzędzie w środku miasta.

Po jakimś tygodniu przerzucono ich na teren przyszłego obozu, o powierzchni około 15 ha. Stała tam wielka cerkiew z obłamanymi krzyżami, wówczas używana jako spichlerz na pszenicę. Była i druga cerkiew, mniejsza, zapełniona aż po szczyt piętrami prycz i zapchana jeńcami. Poza tym był szereg budynków poklasztornych, gdzie przepływające jeszcze przez Starobielsk tysiące jeńców "mieszkało" i spało na gołej ziemi, na pryczach, na korytarzach - wszędzie.

Dopiero w końcu października wywieziono stamtąd 5000 szeregowych, pozostawiając w obozie...

stawiając prawie wyłącznie oficerów, podchorążych i podoficerów oraz kilkudziesięciu cywilów.

Spędzone tu zostały w tę przedwczesną śnieżną i mroźną jesień - tysiące ludzi oberwanych i zawszonych. Nie było mowy z początku, by wszyscy mogli mieszkać pod dachem. Porozstawiano więc, gdzie się dało, namioty.

Przez pierwsze tygodnie jeńcy nie mieli ani łaźni, ani odwyszalni, ani wystarczającego odżywienia. Za to wszędzie, na podwórzach, nawet w łaźni - poustawiano marne głośniki radiowe, które od rana do nocy ryczały i chrypiały "kawałki" propagandowe, opluwające Polskę stekiem kłamliwych i plugawych inwektyw.

Jedyna łaźnia miejska nie mogła wystarczyć tysiącom ludzi. Ubrania oddawano do odwyszalni, w której temperatura była niewystarczająca - wracały więc nieraz z większą ilością wszy, niż w chwili oddawania do dezynfekcji.

Warto przy okazji wspomnieć o straszliwej nędzy, w jakiej żyła ludność miejscowa i okoliczna. W momentach przejść kolumn jenieckich do łaźni lub do pracy na stacji kolejowej - oficerowie, bądź co bądź jako tako żywieni, patrząc na wynędzniałe twarze mieszkańców - zdawali sobie sprawę, że nawet ich chude odżywianie obozowe było wspaniałe w porównaniu z tym, co jadła ludność tubylcza. Nic też dziwnego, że istniało sto sposobów, za pomocą których, bardziej przepełnieni humanizmem oficerowie starali się biedocie pomóc. Przede wszystkim chlebem, najbardziej brakującym w tym kraju, który słynął ongiś z pszenicy i dobrobytu.

Obóz podzielony był na "sektory szarżowe": od podporuczników - do majorów każdy sektor we własnej izbie i z własnym komendantem na czele. Osobną pozycję społeczną w jenieckim świecie tworzyli pułkownicy i czołowe rangi: umieszczeni w osobnym gmachu, poza drutami obozu - nie mogli się kontaktować z resztą obozowiczów.

Wszyscy zdrowi, niezależnie od stopnia, z wyłączeniem pułkowników i generałów, musieli chodzić "na roboty". Nawet w zimie, gdy mróz w Starobielsku dochodził do 35 stopni. Niezależnie od pogody i temperatury jeńcy przynosili wielkie bele drewniane na stacji, wyładowywali i załadowywali wagony towarowe.

Dla chorych istniał szpitalik, w którym bardzo ofiarnie pracowała duża ilość lekarzy wojskowych, ratując kolegów - jeńców. W pamięci obozowych pacjentów, którym dane było przeżyć chorobę i obóz - na szczególniejszą wdzięczność zasłużyła sobie młoda lekarka bolszewicka, inteligentna, serdeczna i troskliwa.

Wszyscy jeńcy przechodzili przez liczne, przeważnie nocne badania. Ich forma i natężenie były różne. Najczęstszym były próby szantażu, nawet przekupstwa. Styl badań miał charakter bardzo zróżnicowany: od uprzejmego indagowania

o wojskowe poglądy na ówczesną sytuację militarną przez przybyłych z Moskwy wyższych urzędników NKWD, aż do badań, które trwały po trzy doby z rzędu, prawie bez odpoczynku, z zastosowaniem piekielnie obłudnych rozczułań w rodzaju: *"Ach, wasza biedna młoda żonka nigdy już was nie zobaczy więcej, jeżeli nie powiecie..., jeśli się nie przyznacie ..., jeśli nie zobowiązecie się ..."* A głównym tematem owego "przyznania się" - był wznawiany na siłę udział w antyradzieckim wywiadzie. "Szpion" - nigdy nie udowodniona wina, za którą szło się na śmierć...

Czapski twierdzi, że podczas badań w Starobielsku nie bito i nie katowano, jak w więzieniach we Lwowie, w Kijowie, w Moskwie i innych miejscach. Bo sam nie dostał. Ale zaraz stwierdza, że *"...nie miał zaszczytu być badany przez wytrawnych speców"*.

W lutym 1940 r, zaczęły krążyć pogłoski, że jeńcy ze Starobielska zostaną zwolnieni. Była to na wskroś perfidna robota, mająca kryć istotę faktu, że w kwietniu zaczęto wywozić jeńców grupami po kilkadziesiąt osób, tylko, że nikt nie wiedział, gdzie i w jakim celu. Ba, wielu wierzyło podszeptowanym chytrze sugestiom, że na wolność.

Trzeźwym obserwatorom zachodzących zdarzeń styl wywozów nasuwał najgorsze przypuszczenia: mieszano wiek, roczniki, rangi, zawody, pochodzenie socjalne, przekonania polityczne. Komendant obozu, ppłk **Bereżkow** i komisarz **Kirszon** - uroczyście zaręczali starszyźnie obozowej, że jest to normalna likwidacja obozu, a jeńcy przewożeni są do punktów rozdzielczych, skąd mają być odesłani do kraju, zarówno po niemieckiej, jak i sowieckiej stronie.

Komendant obozu żegnał partie wyjeżdżających z niewiarygodną, jak na człowieka wykształconego - perfidią:

"Wyjeżdżacie tam, dokąd bym i ja chętnie pojechał..."

Na pewno w archiwach obozowych NKWD pozostały dokumenty wyjaśniające prawdę, ale na razie nikt z jeńców nie domyślał się niczego. A był to przecież potworny dramat, tak szczelnie zakamuflowany kurtyną tajemnicy i taka kpina z jakiegokolwiek etyki, że czegoś podobnego nie odnotowano dotąd w dziejach świata.

Przez dwa miesiące: kwiecień i maj 1940 r., szły - transport za transportem - na miejsca masowych mordów i wciąż w absolutnej tajemnicy. Załogi transportujące jeńców, złożone z jakichś wyjątkowo odczłowieczonych zbirów - przewoziły nieszczęśników na miejsca zbrodni, w milczeniu, z ogniem nienawiści lub strachu w ponurych ślepiach. Ale miejsce kaźni, ale miejsce, w którym pewnego wiosennego dnia zginął nasz sądeczanin, por. Edward Półchłopek - pozostało długo nieznanne.

W majowym numerze "Katolika" z 1991 r., panie - **Henryka Wolna** i **Wanda Musialik** twierdzą, że ze starobielskiego obozu wywóz jeńców rozpoczął się w kwietniu 1940 r. i trwał do 16 maja. Transporty liczące od 200 do 300 osób wyładowywano w Charkowie i przekazywano do tutejszego więzienia, gdzie rozstrzelowano, wywożąc ciała w nieznanym kierunku.

O ilościach jeńców w poszczególnych transportach Czapski nie pisze. Jego samego wywieziono w grupie 16 wyselekcjonowanych osób 12 maja 1940 r. i po długim kluczeniu osadzono w nowym obozie Pawliszczew - Bor. Zebrała się tam grupa szczęśliwców, którym los pozwolił się urwać z szubienicznego stryczka: 200 z Kozielska, 120 z Ostaszkowa i 63 ze Starobielska. W sumie około 400.

Po paru tygodniach wywieziono wszystkich do Griazowca pod Wołogdą, gdzie przebywali do sierpnia 1941 r. Po "amnestii" wszyscy dostali się do tworzonej przez gen. **Andersa** armii polskiej.

Jedno jest pewne - twierdzi Czapski, że ci jeńcy, którzy przebywali w pierwszej połowie 1940 r. w rejonie Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska - do wojska się nie zgłosili: zginęli. A z samego Starobielska, z 3920 oficerów, kilkudziesięciu więźniów cywilnych i około 30 podchorążych i chorążych - uratowało się 79. Całą resztą zginęła bez śladu, mimo uporczywych i nieustannych prób wyjaśnienia, gdzie się znajdują.

W końcu dygresja. Mała, ale wiele mówiąca. Latem 1991 r. wybitny polski podróżnik, literat i publicysta, **Ryszard Kapuściński**, zwiedzając Ukrainę - zahaczył o Charków, gdzie miał bardzo lubianego znajomego poetę i pisarza: **Fomę Awer-czenkę**.

Foma kochał rodzinne miasto i znał jego dzieje. Także i te z pierwszej połowy 1940 r., gdy nad miastem i zieleńjącymi dokoła łanami niósł się huk salw plutonów NKWD, mordujących polskich oficerów, jeńców starobielskiego obozu. W tym 4 generałów: **Leona Billewicza, Stanisława Hallera, Kazimierza Łukoskiego - Orlika i Franciszka Sikorskiego**.

Pewnego dnia Foma, jakiś skupiony i uroczysty, powiedział:

—*Słuszaj Riszard, siewo dnia pajdiom >>popłakać!<<*.

Poszli w nową dzielnicę miasta stanowiącą park oraz miejsce gier, zabaw i ćwiczeń sportowych dla młodzieży. W pewnej chwili, na maleńkim wzniesieniu, gdzie kiedyś stał pomnik, Foma zatrzymał się, położył rękę na ramieniu Kapuścińskiego. "Tu - powiedział - trzeba klęknąć na obydwie kolana, ucałować papieskim zwyczajem ziemię i zmówić modlitwę. Tu - powtórzył - bo tu leży parę setek Twoich braci!!!". I wyjaśnił:

"Było w rejonie Charkowa kilka miejsc mordu: np. Dergacze czy Bezludówka. Ale w kwietniu 1940 r. przywieziono tu jedną partię około 300 osób i tu zamordowano. Tu, bo tu istniały potężne wykopy pod planowaną budowę osiedla, które posłużyły mordercom za zbiorowe mogiły. W maju, jeszcze zwłoki nie wystygły - na plac zjechały maszyny: koparki, spychacze i wozy ugniatające nasypiska. W przeciągu kilku tygodni plac został wyrównany jak boisko. Żadnej dzielnicy tu nie wybudowano, bo wykonanie nowych wykopów fundamentowych było niemożliwe. Powstał, jak widzisz, doskonale wyposażony park, na którym szaleje wyzywając się młodzież, nie mająca pojęcia o historii tego miejsca.

Znam Cię, Ryszard - napisałeś wiele pięknych rzeczy, zwiedziłeś 3/4 świata, ale możesz być pewny, że tu, że w tym parku ani krzyża, ani pamiątkowego obelisku nigdy nie zobaczysz. Na Ukrainie znakom hańby pomników się nie buduje!"

*

Tym razem Foma się pomylił. Minęło 50 lat milczenia wyrastającego ze strachu przed okrucieństwem NKWD. Zaczęły się ruchy wolnościowe i 24 sierpnia 1991 r. Rada Najwyższa Ukrainy ogłosiła utworzenie samodzielnego państwa ukraińskiego - Ukrainy.

Minęło znowu kilka lat. W międzyczasie do Charkowa dotarł niezmordowany w poszukiwaniu polskich cmentarzy ks. **Zdzisław Peszkowski**, kapelan Rodzin Katyńskich i dopiero jemu udało się znaleźć świadków i dokumenty, na podstawie których ustalono, że prawie 4 tysiące oficerów polskich, jeńców obozu w Starobielsku, zostało zamordowanych w podcharkowskiej miejscowości - Piatichatki.

Z tą chwilą problem stał się tematem narad polsko-ukraińskiej komisji. Końcowym efektem rozmów była decyzja budowy w Piatichatkach cmentarza dla 7500 ofiar charkowskiego NKWD.

Oficjalne zamknięcie sprawy budowy cmentarza zostało potwierdzone uroczystym aktem erekcyjnym i wmurowaniem kamienia węgielnego, dokonany w sobotę 27 czerwca 1998 r. przez prezydentów: **Aleksandra Kwaśniewskiego** i **Leonida Kucznię**.

"Niech ten cmentarz - oświadczyli prezydenci - będzie przestrożą dla przyszłych pokoleń, aby koszmar totalitaryzmu nigdy nie mógł wrócić na tę ziemię".

Prezydenci odsłoniли także tablicę, wykonaną przez firmę "Izokor" w Opolu, następującej treści:

"W tym miejscu znajduje się poświęcony przez Ojca Świętego Jana Pawła II kamień węgielny pod budowę polskiego cmentarza wojskowego w Charkowie:

Cierpieniu - prawdę

umarłym - modlitwę

w obliczu Boga Wszechmogącego - Rodacy".

Wszystko to brzmi pięknie i wzruszająco. Niepokój budzi słowo, że budowa będzie mieć miejsce w przyszłości, a w języku polityków - przyszłość może oznaczać: Nigdy!

2.

Drugi z rodziny Pólchłópków, **Kazimierz**, urodził się 17 lutego 1918 r. w Nowym Sączu. Kazikowi lub Kaziowi - jak go powszechnie nazywano - też zapachniał mundur. Ale nie od strony wojaczki i gwiazdek: on kochał muzykę i jej zamierzał poświęcić życie. Na serio. Ledwo wylazł z mundurka szkolnego, mając 15 lat, już widzimy go w mundurze członka orkiestry 1. Pułku Strzelców Podhalańskich. Oczywiście w charakterze elewa.

Instrumentem podstawowym jaki przydzielono Kazikowi do ćwiczeń - była waltornia. Zdolność, dyscyplina i pilność w nauce - pozwoliły mu nie tylko szybko zdobyć doskonałe wyniki w grze na waltorni. Kierownictwo orkiestry, za zgodą dowódcy pułku, doceniając zdolności Kazika, wysłało go do Specjalnej Wojskowej Szkoły Fortepianowej w Katowicach. Jej ukończenie dałoby chłopcu szansę wejścia w skład orkiestry symfonicznej, o czym marzył, lub uczestniczenia w małych zespołach estradowych, występujących w sezonie letnim w Szczawnicy i Krynicy.



Kazimierz Pólchłópek

Na marzeniach siadł okrakiem wybuch wojny. Miał akurat równe 20 lat, a w tym wieku marzenia i pragnienia mają wyjątkowy urok i siłę. Nie ukończył Kazio fortepianu, a zespół orkiestrowy został włączony do kompanii gospodarczej i pod dowództwem szefa orkiestry, kpt. **Jana Waltera**, w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. poszedł z pułkiem na front.

Wrześniową drogę 1. PSP i jego orkiestry, drogę pełną walk, osaczeń i zagrożeń - spryciarz Kazio przebrnął bez szwanku. Wyklnął się sowieckim patrolom, wymienił mundur na chłopską kapotę, i pewnego październikowego dnia zjawił się w Nowej Kolonii. Rodziców nie zastał: w ramach ewakuacji rodzin

kolejarskich dotarli do Stanisławowa i tam się na moment zakotwiczyli.

Kazio, kochający rodziców, niespokojny o ich los, w pierwszych dniach listopada pojechał do bolszewickiego już Stanisławowa odszukać rodziców i pomóc im w trudzie powrotnej drogi.

Rodziców już nie zastał: odjechali w międzyczasie i szczęśliwie wylądowali w zacisznym mieszkanku przy ul. Wyspiańskiego 10.

Gorzej powiodło się Kazikowi. Most na Sanie, strzeżony od strony Polski przez Niemców, a od wschodu przez NKWD - bez specjalnych przepustek i zezwoleń nie był możliwy do przejścia. Poza tym, po obydwu brzegach rzeki, snuła się gęsta sieć patroli. Polacy, pragnąc dostać się do kraju, omijali most i płynąc osiągnęli zamierzony cel. Nie zawsze z pozytywnym skutkiem. Tak się stało z Kazim: dostrzeżony przez psy sowieckiego patrolu - wpadł, oberwał porcję kolb i oprzytomniał dopiero w celi przemyskiego więzienia.

Po poruczniku Edwardzie ślady pozostały.

O Kazimierzu Półchłopku - nie wiemy nic. Którędy wiodła jego droga ku śmierci, gdzie i w jaki sposób zginął? Dosłownie nic. Poza strasznie problematyczną datą śmierci, podaną siostrze Kazika - **Marysi Półchłopek** – przez Polski Czerwony Krzyż w 1959 r., *"że Kazimierz zmarł na terenie ZSRR 14 I 1941 r."*

"Zmarł?" W mowie ludów i narodów na całej kuli ziemskiej nie ma bardziej zakłamanego i zbeszczeszczonego słowa nad określenie: "mieszkał" i "zmarł" w odniesieniu do setek tysięcy Polaków, jeńców i więźniów z lat II wojny światowej. Zapędzonych w "plen", aresztowanych i wysiedlonych z ziem od Sanu i Bugu na Sybir, i w piaski Kazachstanu.

A ponieważ nie było w dziejach świata systemu, który by bardziej poniżył i upodlił majestat śmierci - może warto będzie pokazać, jak się w Związku Sowieckim w owe czasy "umierało". I jak 14 stycznia 1941 r., mógł "umrzeć" Kazimierz Półchłopek.

Umieranie Kazika zaczęło się w przemyskiej komórcie NKWD. Posądzony o szpiegostwo - odrzucił oskarżenie; ba, nawet nie wiedział co znaczy słowo "szpion". Przekazano go więc zwierzchniej placówce we Lwowie, gdzie w osławionych Brygidkach, grupa speców twierdziła, że zna sposoby, które kamienie zmuszą do przyznania się do stawianych zarzutów. Nic nie wskórali, ale wyrok zapadł – 10 lat robót przy wyrębie lasów w łagrze nad Peczorą, w Komi.

Stolicą Komi był Syktywkar i tu mieściła się Główna Centrala NKWD dla rozmieszczania jeńców i więźniów polskich w setkach łagrów rozrzuconych po olbrzymich lasach nad brzegami Peczory i Wyczegdy.

To, co piszę o wyroku na Kazika - nie jest oparte o dokumenty NKWD w Syktywkarze. Może one i są w archiwach, ale utajnione lub zniszczone. W każdym razie dostęp do nich dla "szeregowego" historyka był i jest niemożliwy.

Ulokowanie Kazika w republice Komi jest oparte na wieloletnim grzebaniu się w dziejach i losach znajomych, którym właśnie w Komi wypadło przecierpieć początkowe lata wojny. Albo do momentu "amnestii" we wrześniu 1941 r., lub pozostania na zawsze w lodowej mogile.

Republika Komi, leżąca na północnym wschodzie europejskiej części Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, wchodząca w krąg podbiegunowy i w granice wiecznej zmarzliny - stała się olbrzymim placem robót leśnych i budowlanych.

Z tym wiązał się fakt, że po 17 września 1939 r. i po 10 lutego 1940 r. na obszary Komi skierowano ogromne ilości jeńców polskich, więźniów i całe rodziny wysiedlonych zza Bugu, Sanu i kresów wschodnich. Puste dotąd obszary "zaludnił" Stalin milionem jeńców i więźniów, rozmieszczonych w setkach łagrów. Część tych nowoczesnych "męczenników" rąbała w puszczach szerokie dukty, którymi szły potężne linie energetyczne, trasy kolejowe i drogowe. Reszta skazańców prowadziła transport drewna i roboty budowlane.

Jednym z wielu przekleństw, jakie nękały skazanych na łagrowy los, były potężne burze śnieżne, które zima za zimą - szalały nad republiką, zasypując wszelkie kotliny i wgłębienia terenowe wysoką na kilka metrów warstwą śniegu. Ten typ zawiści uniemożliwiał na przeciąg całych tygodni wszelką komunikację, a szczególnie kolejową, stwarzając dodatkowe utrudnienia i zagrożenia. Łącznie z wypadkami masowej śmierci, delikatnie określanych przez władze Komi jako przypadki lub zrządzenia losu.

Oto jeden z takich "przypadków", nieco grubszego "kalibru".

W lutym 1941 r, szalejąca od kilku dni śnieżnica zasypała bardzo ruchliwą trasę kolejową Kotłas - Uchta - Workuta górami śniegu. Pociągi wiozące węgiel z zagłębia workuckiego w stronę Moskwy utknęły w zaspach i przestały kursować. Trzeba je było odkopać.

Naczelnik łagro-kombinatu w rejonie Uchty wybrał 1650 trzymających się jeszcze jako tako na nogach jeńców i więźniów - Polaków, uformował specjalny pociąg i pod strażą 100 enkawudzystów wysłał na śnieżny front. A śnieg sypał dalej, a wichury szalały nadal zasypując jadących "ratowników" wzniesieniami "białej śmierci".

Po kilku dniach pociąg utknął na dobre. Skończyło się paliwo, zjedzono ostatni

kęs chleba, wypito ostatni kubek wody i nastąpił kres: po kilku dniach w odkopanym pociągu znaleziono 1750 zamrożonych trupów.

Oczywiście, nie można twierdzić, że wśród zamrożonych był nasz Kazio Półchłopek. Nie można również upierać się, że go nie było. Obydwie możliwości mogły zaistnieć. A ponieważ tego rodzaju śnieżyce szalały w podbiegunowym obszarze każdej zimy wielokrotnie, pochłaniając tysiące osób, ten sposób "umierania" nie był ani dziwny, ani wykluczony. Był jeszcze jedną zakłamaną cyfrą, podaną przez zakłamanego, zbrodniczy system.

3.

Trzeci z Półchłopców, najmłodszy, **Mieczysław**, urodził się 25 listopada 1919 r. w Nowym Sączu. Tu w 1938 r. zdał maturę w II Gimnazjum i zaraz rozpoczął naukę w Szkole Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu.



Mieczysław Półchłopek

We wrześniu 1939 r., dwudziestoletni podchorąży, walczył w krakowskim 8. Pułku Ułanów, w ramach Krakowskiej Brygady Kawalerii. Szlak bojowy brygady składał się z bezustannych walk i wymykania się z okrążeń i osaczeń. Kres wojowaniu położyli Sowieci w dniu 27 września, koło wsi Chmielek, na wschodnich kresach województwa lwowskiego, zabierając resztki brygady do niewoli. Z dowódcą tej resztki, rotmistrzem Józefem Czapskim na czele.

Ale Mietka już między nimi nie było. Wrócy młodocianym patriotyzmem, doskonale zadatek na oficera, bardzo pragnął walki. Ale miał na te sprawy swój, po kolegarsku praktyczny pogląd: walczyć do ostatniej kropli krwi - tak, ale za wolność Ojczyzny. W aktualnej sytuacji walka z ruskimi grabieżcami i złodziejami - nie ma najmniejszego sensu! Pozostaje jedno: nie czekać aż zabiorą w "plen", aż wywiozą w zimną dal, na zimną śmierć - lecz wiać.

I tak zrobił. W zamieszaniu frontowym wykorzystał dogodny moment i zniknął w bieszczadzkiem gąszczu. Z drogą powrotną trudności większych nie miał. Oblatany w podchorążówce z mapami, kompasami i zasadami terenoznawstwa - szedł raczej na pewniaka. Najpierw przemundurował się, wymieniając u nauczyciela

w szkole mundur na cywilny garnitur, i klucząc bocznymi drogami, omijając miasteczka i większe wsie - po kilku dniach wędrówki dotarł do rodzinnego domu.

Jeszcze w nic nie zaangażowany - marzył o wypoczynku i wygojeniu obolałych i obtartych do krwi nóg. Ale już po kilku dniach w mieszkaniu Półchłópków pojawili się koleżkowie: wspaniale zgrana ferajna z Kolejowego Przynależenia Wojskowego: por. **Karol Głód, Romek Świerat, Stanisław Fic, Mieczysław Kwarciański, Kazimierz Mucha, Adam Ziaja** i inni. Same "twardziele", wypróbowani włączoną po beskidzkich szlakach.

Cel odwiedzin ujawnił się z miejsca: "*Mietuś - powiedzieli - złaż no szybciej z tego wyrka i kuruj te kulasy porządnie, bo jesteś potrzebny... U Tadzia Sokołowskiego, raz po razie, zjawiają się koledzy z podchorążówki i studiów - koledzy z wojska, którzy proszą o przeprowadzenie przez granicę i pomoc w drodze do tworzonej we Francji armii polskiej.*"

Oglądnął Miecio nogi i stwierdziwszy, że już nadają się do eksploatacji - ruszył w drogę i przeprowadził pierwszą czwórkę kandydatów do buławy marszałkowskiej. I tak w listopadzie 1939 r. zaczął Mieczysław Półchłópek swoją służbę na drugim froncie II wojny światowej.

Nie trwała długo. Ruch przerzutowy narastał z każdym dniem. Przybyło uchodźców, wzrastały szeregi przewodników, ale w pas pogranicza puściło gestapo sformę szpiegów i zdrajców, którzy wcisnęli się w harcerską służbę przerzutową i zdobyli wiele cennego materiału.

Nastąpiły aresztowania i pierwsze egzekucje: w listopadzie i grudniu 1939 r. W styczniu 1940 r. agent gestapo rozpracował komórkę przerzutową w Biegonicach, wydając w ręce niemieckie około stu uchodźców. W ciągu lutego, marca i kwietnia - aresztowania trwały nadal, likwidując prawie całą harcerską młodzież, — Polską Organizację Białego Orła "Resurrectio" /POBO—R/.

Z dniem 1 maja sądeckie gestapo, w porozumieniu ze słowackimi władzami przystąpiło do generalnego ataku na ruch przerzutowy: wzmocniono obustronne posterunki straży granicznej, aresztowano mnóstwo ludzi po tej i tamtej stronie pasa granicznego, w tym wszystkich taksówkarzy zaangażowanych na rzecz uchodźców.

I na moment pogranicze się uciszyło.

Miecio Półchłópek uznał, że kawalerzyście, choćby w stopniu podchorążego, dziadować nie wypada. Nie udało się na wschodzie - przedstawił kolegom swój punkt widzenia - spróbujmy szczęścia u **Sikorskiego**.

Dogadali się rychło, pozbiali graty i ustalili termin wymarszu na 10 maja. Kierunek - Budapeszt. Uczestnicy: porucznik rezerwy - Mieczysław Kwarciański, podchorążowie: artylerii - **Adam Polowiec** i kawalerii Mieczysław Półchłopek oraz **Tadeusz Jurecki**.

Pierwszy termin zawiódł. Tego dnia wieczorem Jurecki akurat wrócił z Muszyny, gdzie organizował trasę przerzutu i przewodnika przez pierwsze kilometry słowackich lasów. Załatwił wszystko, ale właśnie tego wieczoru, u mamy przy ul. Fabrycznej czekali oprawcy z ul. Czarnieckiego i biedny Tadzio wlaż im w łapy.

Pozostała trójka postanowiła, mimo pechowej próby startu - kontynuować swój zamiar szukania biało-czerwonych sztandarów aż do skutku. Szło im się różnie: błądzili po lubowniańskich lasach, najedli się strachu, ale w końcu dowlekli się do Koszyc, które wtedy należały do Węgier i nosiły nazwę Kassa.

Kto z uchodźców dotarł w tamte lata do Koszyc - najgorsze miał już za sobą. W Koszycach bowiem, przy ul. Pocztovej 13, już w październiku rozpoczęła działalność placówka pomocy uchodźcom, którą na polecenie poselstwa polskiego w Budapeszcie zorganizował, pod firmą PCK, inż. **Stanisław Skupień**.

Właśnie tu trafił Miecio z kolegami i tu poznał, ile wart jest po tułaczce i poniewierce smak Polski... Choćby po doskonałym obiedzie, jaki zjedli w delegackiej stołówce. Tu też złożyli pierwsze zeznania i otrzymali pierwsze informacje, a z nimi zapomogi pieniężne i bilety kolejowe do Budapesztu.

W Budapeszcie wysiedli na dworcu, którego nazwy nie zdołali ani wymówić, ani zrozumieć. Zgodnie z informacją uzyskaną w Koszycach - mieli się znaleźć na Keleti, czyli na Dworcu Wschodnim. A tymczasem z przerażeniem i zdumieniem, łamiąc języki, przeczytali: Keletipajaudwar... Z kłopotu wybawił ich penetrujący dworzec pracownik Biura Ewakuacyjnego "Ewa", który zaprowadził trochę zaszokowanych poszukiwaczy "drogi do wojska" właśnie tam, kędy ta droga się zaczynała: do siedziby Poselstwa Polskiego przy Vaci utca 37. Bo właśnie tu mieściła się wspomniana "Ewa", kierowana przez szefa attachatu wojskowego w Poselstwie Polskim, ppłk **Jana Emisarskiego**.

W ramach "Ewy" działało szereg komisji, jak lekarska, dokumentacyjna i organizacyjna, przed którymi każdy z "gości" załatwiał sprawy związane z jego dalszym losem. Był już koniec maja 1940 r. i nadchodzące z Francji wieści o konflikcie z Niemcami - sytuację z wyjazdem na zachód mocno skomplikowały.

To było powodem, że w naszej trójce nastąpił rozłam. Na kierunek francuski zdecydował się tylko por. Mieczysław Kwarciański. Przez Zagrzeb i Split dotarł do

wybrzeży Francji i wylądował na moment w ośrodku organizacyjnym WP w Camp de Carpiogne.

14 czerwca Niemcy zajęli Paryż i z tą chwilą Polakom pozbawionym nadziei na działania frontowe, pozostało jedno: możliwie szybka ewakuacja do Wielkiej Brytanii. Kwarciański właśnie w ramach ewakuacji dotarł do Szkocji. Tu poprzez 1. Samodzielną Brygadę Spadochronową **Sosabowskiego** ukończył Szkołę dla "Cichociemnych" i jako zrzutek, nocą 25 stycznia 1943 r. wylądował w kraju. Z przydziałem terenowym do Okręgu AK Lublin, gdzie pełnił różne funkcje do końca wojny.

Inną drogę wybrali dwaj przyjaciele z podchorążackiego poligonu: kawalerzysta - Półchłopek i artylerzysta - Polowiec. Im "rodacy" z "Ewy" poradzili bardzo interesującą trasę: przez Belgrad, Sofię i Stambuł - do portu na drugim końcu Turcji w Mersin, skąd emerytka Polskiej Żeglugi Morskiej "Warszawa" przerzuci ich do Syrii, gdzie właśnie zaczęła się rodzić głośna w dziejach Polskich Sił Zbrojnych na Bliskim Wschodzie - Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich pod wodzą **Stanisława Kopańskiego**.

Trasa rzeczywiście była wyjątkowo ciekawa, ale chłopcom bardzo się do tej Karpackiej spieszyło. Nie marudząc, ani się przejmując faktem, że staruszka "Warszawa" tańczyła po burzliwych falach Morza Śródziemnego jak pijana - 10 czerwca wylądowali w Bejrucie.

Na redzie portu wpadli z miejsca w ręce patrolu Karpackiej, pełniącego wśród pasażerów "Warszawy" dyżurne łowy na poszukiwaczy wojennych przygód. Niedaleko portu stał gmach, w którym mieściła się cała "karpacka" biurokracja: różne biura, oddziały i wydziały, a nawet średnich wymiarów pokój z kratami i solidnymi zamkami.

Petenci zaraz na dyżurce otrzymywali skierowania do właściwego pokoju i przed właściwą komisję. Z tą chwilą tracimy z oczu artylerzystę Polowca i będziemy towarzyszyć kawalerzyście Półchłopkowi. Zaczniemy od hecy.

W pokoju kawalerzystów rej wodził stary "zupak", szef kancelarii - **Stasio Policht**.

- *A pan podchorąży jak się nazywa* - spytał kaprałskim tonem frontowego ułana.

- *Mieczysław Półchłopek* - zameldował się Mieciu trzaskając kopytami.

- *Boże święty!* - wrzasnął szef - *Co się tam w tym Sączu dzieje? Przychodzi chłop jak dąb i opowiada duperele, że jest tylko połówką człowieka! I może*

w dodatku z kolejarzkiej rodziny? Bo co przybysz z Nowego Sącza - to kolejarz!

- *Ja rzeczywiście jestem ułanem kolejarzkiego chowu!* - pada odpowiedź.

- *I myślisz pewnie, że w Karpackiej będziesz jeździł lokomotywą* - zakpił szef...

- *Panie wachmistrzu* - odgryzł się Miecio - *melduję, że wystarczy dobry koń.*

- *Wolniutko, kochany* - *to bardzo dobrze, że lubisz konie, ale ręczę ci, że u nas za parę tygodni przesiądziesz się z koni na tankietkę...*

I na tym się ceremoniał wstępny zakończył. Z przydziałem do raczkujących jeszcze załóżków pułku, odjechał nasz bohater do siedziby Karpackiej w niedalekim Homs i zaczął doskonalić kawaleryjskie rzemiosło.

Na razie po staremu: "*Kiedy ranne, ...*", "*Wszystkie nasze...*", padnij, powstań itd. Jak w Grudziądzu i Krakowie. Ale wkrótce przepowiednie wachmistrza zaczęły się powolutku sprawdzać. 300 darowanych przez Anglików koni przechodziło do innych rodzajów służby, a 27 stycznia 1941 r. zorganizowany w międzyczasie Pułk Ułanów Karpackich przeszedł do Egiptu, celem przebrojenia w samochody pancerne i reorganizacji na wzór brytyjski.

Wymienione prace trwały kilka miesięcy, podciągając stan pułku do poziomu istniejącego we wszystkich formacjach walczących na Bliskim Wschodzie. Jedynym mankamentem takiego stanu rzeczy był fakt, że pułk, albo w całości, albo poszczególnymi szwadronami musiał uczestniczyć w operacjach bojowych różnych grup narodowościowych, biorących udział w działaniach frontowych przeciwko Niemcom i Włochom.

Ta ogromna ruchliwość operacyjna Pułku Ułanów Karpackich, częste przerzuty setkami kilometrów wte i wofte - miała przykre reperkusje także dla samych żołnierzy. Tragicznym przykładem niech będą przypadki losowe Mieczysława Półchłopka.

Był jednym z najdzielniejszych żołnierzy pułku. Od pierwszych walk w Cyrenajce w pierwszej połowie 1941 r. przeszedł do wielomiesięcznej obrony twierdzy Tobruk i okolicznych fortów pustynnych, szczególnie w rejonie El Gazali.

Kampania libijska przyniosła Mietkowi dużą satysfakcję w postaci dwóch odznaczeń: Afrika Star oraz awansu do stopnia wachmistrza podchorążego.

W tym samym roku nastąpiły w strukturze wojsk na Środkowym Wschodzie generalne zmiany i przegrupowania. Pułk Ułanów Karpackich podporządkowany szkockiej 154. Brygadzie Piechoty, walczył w rejonie Alem Halfa. W październiku 1942 r. pułk, pożegnany rozkazem okolicznościowym przez dowódcę sił brytyjskich, gen. **Harolda Alexandra** - odszedł do Palestyny. Na pożegnanie padło wiele od-

znaczeń i awansów, w tym Mieczysława Półchłopka - do stopnia podporucznika.

W międzyczasie, dwoma masowymi rzutami ewakuacyjnymi utworzona przez gen. Andersa armia polska przeniosła się z Rosji do Persji i Iraku. Na razie bez przydziału organizacyjnego i bez uzbrojenia. Ale trwające w galopującym tempie negocjacje zrobiły swoje. Wynik podał gen. Anders 12 października 1942 r., informując o połączeniu jego oddziałów z wojskiem gen. Kopańskiego i utworzeniu związku operacyjnego pod nazwą Armia Polska na Wschodzie, wchodzącego w skład sił brytyjskich w Persji i Iraku.

Dla jej koncentracji, reorganizacji i szkolenia - władze brytyjskie wyznaczyły obszar Iraku, położony między rzekami Eufratem i Tygrysem. Był to akurat teren ze złych - najgorszy. Pustynia. Nawet późną jesienią temperatura dochodziła do 50°C w cieniu. Przydziały wody dla żołnierzy były zbyt małe (4 litry). W porze deszczowej zaś pustynia zamieniała się w grzęzawisko. A na dodatek koszmar: olbrzymie ilości komarów, związana z tym malaria i ogromna śmiertelność, która pochłonęła kilka tysięcy żołnierzy.

W takich warunkach Pułk Ułanów Karpackich, po zmianie Palestyny na Irak - rozpoczął działalność organizacyjną i szkoleniową na rzecz oddziałów przybyłych z Andersem. Na instruktorów wybrano najlepszych kawalerzystów Karpackiego Pułku, a między innymi podporucznika Mieczysława Półchłopka. Jeszcze oficera Karpackiego Pułku, ale należącego do stworzonej na bazie Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich - 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Z przeznaczeniem na front włoski.

Miecio wziął się do powierzonych zadań energicznie i solidnie, ale nie wytrzymał długo: położyły go wspomniane warunki irackiego klimatu. Zapadł nawet nie na malarię, ale na jakąś bliżej nieokreśloną chorobę kości biodrowych. W każdym razie przeleżał w irackim szpitalu 8 miesięcy. Odwiedzający go koledzy notują, że spotkali go w sierpniu 1943 r. w Jerozolimie, gdzie spędzał urlop zdrowotny. Przy rozstaniu zapowiadał, że za tydzień wróci do pułku, aby z "prawosławnych" od Andersa robić ułanów.

W międzyczasie zaszły na Bliskim i Środkowym Wschodzie dalsze zmiany: w miejsce zgrupowania zwanego Wojskiem Polskim na Wschodzie, w wyniku narad wszystkich wyższych dowódców operujących na tym terenie oraz przedstawicieli Londynu - powstał II Korpus z gen. Andersem na czele, ale podlegający dowódcy 9. Armii brytyjskiej w Syrii.

W nowym układzie oddziały polskie zostały cofnięte do Palestyny, gdzie warun-

ki bytowania i szkolenia były daleko lepsze niż w Iraku. W listopadzie 1943 r. II Korpus znów zmienił bazę, przemieszczając się w rejon Ismaili w Egipcie, aby tu doskonalić sztukę bojową i czekać na transport do Włoch.

Pierwsze transporty 3. Dywizji Strzelców Karpackich wylądowały się w Tarencie już 21 grudnia 1943 r. Ale Mietków Pułk Ułanów Karpackich stanął w Tarencie dopiero 25 stycznia 1944 r.

Na razie ułani przebywali w strefie przyfrontowej nad rzeką Sangro, skąd dopiero 12 marca 1944 r. przesunęli się bliżej frontu. Wejście do bezpośrednich działań - Pułk Ułanów Karpackich rozpoczął, zgodnie z rozkazem gen. Andersa, dnia 30 kwietnia. Pułk rozpoczął je objęciem pozycji pod Monte Cairo.

12 maja, o godzinie 10⁰⁰ ruszył do ataku cały II Korpus. Celem głównym było zdobycie szerokiego kompleksu wzgórz, z dominującym nad całością "Widmem". Walki o kompleks wzgórz, z "Widmem" na czele, były tak ciężkie, że np. po ataku na pozycję "593" z nacierającego batalionu pozostali zdolni do walki: kpt. Tadeusz Radwański i siedmiu szeregowych... Zdolność bojową zachowały na tym odcinku tylko pułki Ułanów Karpackich i Poznańskich.

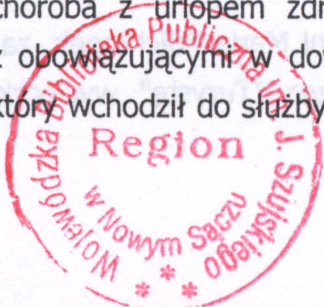
W nocy z 16 na 17 maja i w ciągu dnia "Widmo" zostało zdobyte. Przestało straszyć jako obiekt bojowy, ale pozostawiło po sobie lęk i setki poległych żołnierzy. Ten lęk na moment zelżał, gdy, 18 maja, o godzinie 9⁴⁰, oddział 12. Pułku Ułanów Podolskich dotarł do klasztoru na Monte Cassino i na jego ruinach zatknął biało-czerwony sztandar.

"To pięknie - powiedział Miecio Półchłopek - że nasi koledzy rozstawili polskie barwy i kawaleryjską dzielność, tylko czemu za tak wysoką cenę! "

I rozglądnął się z wysokości tego wzgórza, jakby policzyć chciał tych, którzy zginęli nad klasztorem.

A zginęło ich bardzo dużo; w rejonie Monte Cassino - Piedimonte, od 11 do 31 maja 1944 r. straty całego II Korpusu wyniosły 4075 ludzi, w tym 2822 rannych szeregowych i 77 oficerów.

Do tej smutnej sumy musimy jeszcze doliczyć śmierć sądeckiego bohatera: podporucznika Mieczysława Półchłopka. Podporucznika, którego prawie roczna choroba z urlopem zdrowotnym, mogły zubożyć o dwa stopnie. Bo zgodnie z obowiązującymi w dowództwie sprzymierzonych zasadami, każdemu Polakowi, który wchodził do służby w siłach alianckich z ukończoną podchorążówką - należał



się stopień kapitana.

Miecieo także, mimo choroby, byłby na koniec służby kapitańską rogatywkę otrzymał. Niestety, 22 czerwca 1944 r. padł rozkaz zdobycia za wszelką cenę Ankony, portu nad Adriatykiem, który był aliantom bardzo potrzebny dla operacji zaopatrzeniowych drogą morską.

Walki o zdobycie rozpaczliwie bronionej przez Niemców Ankony trwały, z różnym natężeniem, od 1 do 20 lipca 1944 r. W atakach brały udział różne rodzaje broni, także kawalerzyści z Pułku Ułanów Karpackich. Jeden z plutonów prowadził podporucznik Miecio Półchłopek. Promieniejący bojowym zapałem - szedł na czele kolumny, aby uczestniczyć w poważnej akcji zdobycia przyczółka na rzece Musone. Szli wąską ścieżką "gęsiego". W Loreto, pod wzgórzem na którym stał klasztor, podporucznik Półchłopek został trafiony ciężkim pociskiem w głowę.

Po wojnie trafił do mnie list z Sydney w Australii. Pisał kolega Mietka, wachmistrz **Lorek**, ten sam, który po poległym objął komendę. A oto jego słowa:

"Z Mietkiem lubiliśmy się jak bracia. Służyliśmy w jednym szwadronie Karpackiego Pułku od pierwszych walk nad rzeką Sangro, przeżyliśmy prawdziwe piekło morderczego frontu w kręgu "Widma", Monte Cassino i Piedimonte. Dopiero tu, w Loreto, w zaciekłym boju o zdobycie przyczółka nad rzeką Musone - pierwszy z gradu pocisków niemieckiej zasadzki trafił w Mietka.

Idąc tuż za nim, uderzony podmuchem kuli, upadłem na moment - ale zaraz podczołgałem się z myślą, że Mietek tylko ranny i trzeba mu pomóc. Gdy dźwignąłem się nad leżącym - doznałem szoku. W montecassińskiej mordowni widziałem rzeczy straszne: setki trupów i stosy strzępów ciał, które trzeba było zbierać i znosić na ustalone miejsca.

Przy Mietku było inaczej: gdy po chwilowym oszołomieniu, porażonym rozpaczą oczom wróciła zdolność widzenia - zobaczyłem leżące w poprzek ścieżki zwłoki jeszcze drgające gasnącymi resztkami młodych sił. Obok leżał hełm a koło hełmu strzępy rozbitej czaszki i kawałki mózgu... Złamany zalem - z ogromną trudnością zdołałem przekroczyć resztki drogiego kolegi, aby nie znieważać jego świętych części dotknięciem buta".

Spoczął na polskim cmentarzu wojskowym w Loreto, u stóp klasztoru, którego siostry opiekują się cmentarzem, dzięki czemu jest on bardzo starannie utrzymany.

*

9 października 1976 r. siostra naszych bohaterów, pani Maria Półchłopek, zamieszkała w Łodzi, skorzystała z okazji urządzonej przez "Turystę" wycieczki

i pojechała, "z ziemi polskiej do włoskiej", odwiedzić mogiłę brata.

"Jadę - powiedziała odradzającym jej podróż sąsiadom - bo wiem, gdzie i po co! 37 lat płakałam za Edkiem i Kazikiem. Płakałam, choć nic nie wiedziałam o ich losie. Teraz wiem: Miecio zginął wiodąc kolegów do boju o świętą sprawę wolności i los na wieczny spoczynek przeznaczył mu słoneczny i pełen kwiatów cmentarz w Loreto... Może jeszcze się rozpłaczę, ale łatwiej mi będzie pomodlić się o spokój jego duszy litanią do Matki Boskiej Loretańskiej".

POMNIKI ADAMA MICKIEWICZA W NOWYM SĄCZU CZ. II

Zasługę ozdobienia szkoły im. Adama Mickiewicza popiersiami wybitnych Polaków i realizację pomnika Wieszczka w roku 1898 przypisać należy burmistrzowi Nowego Sącza - **Lucjanowi Lipińskiemu**.

Pod koniec wieku XIX pojawiło się w Nowym Sączu wielu świątłych ludzi oddających swe umiejętności dla rozwoju miasta i jego społeczności. Należał do nich Lucjan Lipiński (1840 - 1922). Był notariuszem w Nowym Sączu, jednym z głównych założycieli Gniazda Towarzystwa Gimnastycznego w 1887 r. Był w "Sokole" strażnikiem polskośći działając wraz z najwybitniejszymi obywatelami miasta na rzecz budzenia ducha narodowego. Funkcję prezesa Gniazda Sokolego pełnił przez lat siedemnaście, do 1904 r. Z jego inspiracji wzniesiony został w 1892 r. budynek "Sokoła" noszący imię Tadeusza Kościuszki, uważany wówczas za najbardziej ozdobny dom w mieście, a służący po dziś dzień.

Lucjan Lipiński urodził się we Lwowie. Matka jego - **Ludwika z Tarsińskich** wywodziła się ze Starego Sącza, z przyrynkowego domu zwanego "Na Dołkach", którego właścicielami byli jej rodzice od 1834 r. a ona sama do 1856.

Ojciec, dr **Mikołaj Lipiński**, wykładał filozofię na uniwersytecie lwowskim. Był tym profesorem, który w 1868 r. pierwszy począł prowadzić wykłady w języku polskim, czyniąc tym wyłom w uniwersyteckiej niemczyźnie.

Z rodzinnego domu wyniósł Lucjan Lipiński patriotyczne wychowanie, o czym świadczy jego w 1860 r. wyprawa w Tatry, do Ołtarza Wolności - jak mianowano je w polskich kręgach. W swej relacji z tej wyprawy wspomina jak rozrzewnił się do

łez, kiedy stary szczawnicki flisak - kiedyś żołnierz Napoleona I - śpiewał u przeprawy przez Dunajec pieśń Legionów "*Jeszcze Polska nie umarła...*". Aktualność tych słów przekuwał Lucjan Lipiński w czyn, tak w "Sokole", jak i pełniąc funkcję burmistrza Nowego Sącza.



Burmistrz Nowego Sącza Lucjan Lipiński

Wiceburmistrzem mianowany był przed 1887 r. Burmistrzem wybrany w dniu 14 listopada 1894 r., objął zwierzchnictwo nad miastem spustoszoneym pożarem w 1890 r. (spłonęło w dzielnicy żydowskiej ok. 200 mieszkań, 3000 mieszkańców pozostało bez dachu nad głową), jak i w 1894 r., kiedy to pożarem zniszczona została północno-zachodnia część miasta wraz z ratuszem. Dbając o odbudowanie zniszczonej pożogami części miasta, regulując w niej bieg ulic wprowadził wymóg zastosowania stylowych fasad odnawianych i nowo wznoszonych budynków. Za jego kadencji zostały przygotowane plany nowoczesnej komunalnej infrastruktury

miejskiej (wodociągi, kanalizacja, światło elektryczne). Pragnął uczynić Nowy Sącz miastem europejskim. Wystawiony jego staraniem nowy ratusz jest do dziś znakiem rozpoznawczym Nowego Sącza.

Lucjan Lipiński, utrzymując jako prezes "Sokoła" częste kontakty z jego lwowską Macierzą, a jako burmistrz konsultując się w sprawach Nowego Sącza z wydziałami galicyjskiego rządu krajowego, rozeznał środowisko lwowskich architektów i jako budowniczego miejskiego zatrudnił **Jana Perosia** (1867 - 1932). Był on absolwentem z roku 1889 Wydziału Architektury (jedyne na ziemiach polskich) w Politechnice Lwowskiej. Miał już za sobą kilka architektonicznych realizacji.

Jan Peroś przygotował plan budowy ratusza dla Nowego Sącza, według którego nastąpiła jego realizacja. Gmach wzniesiony w charakterystycznym dla owego czasu stylu eklektycznym, naśladującym wielkie style epok minionych, posiada wiele detali odwzorowanych z architektury Lwowa. Hol i klatka schodowa ratusza upodobnione są do takichże w gmachu Politechniki Lwowskiej. Także wystrój sali radnej z neorenesansowym stropem z rozetami, malowidłami, a nawet stolarką drzwiową przeniósł na grunt sądecki z auli Politechniki Lwowskiej. Ten budowniczy miejski pracował w Nowym Sączu do 1900 r. Jego architektonicznymi realizacjami w mieście są m. in. szkoła męska Adama Mickiewicza, willa "Maria", budynek starostwa.

Jan Peroś przeniósł się do Krakowa, gdzie był współtwórcą rozbudowy miasta, wszedł w skład jego władz.

Zaplanowaną przez tego architekta koncepcję wystroju rzeźbiarskiego wieży zegarowej ratusza, realizował zaproszony do Nowego Sącza przez doceniające znaczenie estetyki w mieście władze magistrackie z burmistrzem Lucjanem Lipińskim na czele, ściągnięty ze Lwowa artysta-rzeźbiarz **Stanisław Wójcik**. Posiadał polecenie prof. **Ferdynanda Fellnera**, wykonującego z ramienia rządu austriackiego nadzór nad plastycznym wystrojem nowego sądeckiego ratusza.

Stanisław Wójcik (1864 - 1929), który w Nowym Sączu zostawił wiele swoich prac plastycznych pochodził z Zakrzówka pod Krakowem. Studia rzeźbiarskie podjął w 1883 r., w Akademii Sztuk Pięknych u prof. **Gadomskiego** w Krakowie. Kontynuował je od 1887 r. w Wiedniu przez 3 lata u prof. Ferdynanda Fellnera. (Był tenże projektantem i realizatorem teatru pałacowego w Łańcucie, gmachów teatrów w Toruniu i w Cieszynie). Stanisław Wójcik powrócił do Krakowa w 1890 r. i podjął pracę w Zakładzie Zdobnictwa Kościelnego u rzeźbiarza **Kazimierza Chodzińskiego**.

W 1892 r. przeniósł się do Lwowa, gdzie przez trzy lata: pracował w pracowni rzeźbiarskiej **Piotra Harasima**, następnie u rzeźbiarza **Leonarda Markoniego i Boracza**. W tym okresie wykonał figury i płaskorzeźby dla lwowskiego teatru.

Do Nowego Sącza przybył w 1897 r. Pierwszą jego tutaj pracą rzeźbiarską było wykonanie plastycznego wystroju wieży zegarowej ratusza. Rzeźbiarz umieścił przy tarczach zegarowych unoszące się do lotu kamienne orły. Usytuował w centralnym punkcie wieży grupę monumentalnych rzeźb: posąg Królowej Jadwigi z berłem uniwersytetu krakowskiego oraz postacie Merkurego i mocarnego kowala z młotem (te dwie rzeźby nie zachowały się, zdjęte zostały z cokołu w 1945 r. na skutek zniszczenia w czasie działań wojennych). Nawiązywały do charakteru miasta przez wieki kształtowanego przez naukę, rzemiosło i handel. Rzeźbiarski wystrój wieży zamykają atlanty podtrzymujące jej balkon.

Mając wzgląd na dydaktyczne cele nowej szkoły męskiej przy ul. Długosza wykonał Stanisław Wójcik dwadzieścia popiersi znamienitych Polaków. Usytuowane zostały w niszach nadokiennych pierwszego piętra budynku. Na frontonie głównym, po stronie prawej popiersia patrona szkoły Adama Mickiewicza widnieją: Władysław Jagiełło, Jan III Sobieski, Tadeusz Kościuszko, Kazimierz Pułaski i Jan Kiliński.

Po stronie lewej: Bolesław Chrobry, Kazimierz Wielki, ks. Jan Długosz, Jan Kochanowski, Mikołaj Kopernik.

W elewacji południowej szereg popiersi otwiera Jan Matejko, po nim następują: Aleksander Fredro, Józef Ignacy Kraszewski, Juliusz Słowacki, ks. Augustyn Kordecki, Zygmunt Krasiński, Joachim Lelewel, ks. Hugo Kołłątaj, ks. Onufry Kopczyński - autor pierwszej gramatyki języka polskiego.

Najbardziej jednak znanym dziełem tego rzeźbiarza był pomnik Adama Mickiewicza, znakomicie wykonany i także usytuowany w pejzażu miasta.

Ukończywszy w 1899 r. prace rzeźbiarskie wykonywane na zlecenie władz miejskich począł Stanisław Wójcik realizować zamawiane rzeźby sakralne dla sądeckich kościołów. Jego dziełem była ogromnych rozmiarów w piaskowcu kuta postać Chrystusa na Krzyżu, usytuowana na frontonie wieży kościoła "kolejowego" pw. św. Elżbiety. Figura ta odjęta została od kamiennego krzyża z powodu kruszenia się piaskowca i zastąpiona w 1973 r. metalową przestrzenną rzeźbą Ukrzyżowanego.

Do dzisiaj dotrwały jego rzeźby: Chrystus przy słupie w przedsionku Bazyliki św. Małgorzaty, figura Matki Bożej w obejściu kościoła Ducha Świętego przy klasztorze oo. Jezuitów, figura Matki Bożej w ogrodzie klasztoru ss. Niepokalanek.

Pracami rzeźbiarza, są figuralne nagrobki: dwa na sądeckim cmentarzu komunalnym, dwa w Starym Sączu, dwa w Gołąbkowicach. Tutaj uwagę zwraca secesyjno-modernistyczna z 1904 r, rzeźba Anioła Smutku na grobowcu rodzinnym Miczyńskich. Jego dziełami są płaskorzeźby personifikujące farmację na ścianach kamienicy narożnej przy ul. Jagiellońskiej i ul. Lwowskiej, gdzie kiedyś mieściła się apteka. Popiersia Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego są do dzisiaj ozdobą domów nr 21 i nr 35 przy ul. św. Kunegundy. Popiersie Tadeusza Kościuszki na bursie jego imienia zniszczone odkuł od nowa art.-rzeźb. **Mieczysław Bogaczyk**.

Po 1900 r. przebywał Stanisław Wójcik we Lwowie. Bywał i w Nowym Sączu, gdzie 4 czerwca 1904 r., zawarł związek małżeński z sądeczanką **Stanisławą Walerią Kościuszyńską**.

Od 1908 r., żył i pracował w Zakopanem, był nauczycielem w Szkole Rzemiosł Artystycznych. W latach 1905 - 1909 wykonał dekorację rzeźbiarską fasady kościoła św. Józefa na Podgórzu w Krakowie. Współtworzył pomnik Tadeusza Kościuszki na sarkofagu Henryka Siemiradzkiego w kościele na Skałce, wykuł płaskorzeźbę w kamieniu dla klasztoru Sercanek w Krakowie oraz figury Matki Bożej na budynku Suskiego, tamże.

Jego dziełami są wykonane dla Krynicy: pomnik grunwaldzki w 1910 r. oraz pomnik Kazimierza Pułaskiego z 1928 r.

Schyłek swego pracowitego życia spędził Stanisław Wójcik w Krakowie.

Jubileusz 670-lecia założenia Nowego Sącza.

W atmosferze odbudowy Nowego Sącza ze zniszczeń wojennych, w okresie pierwszej "odwilży", padł pod koniec 1956 r. projekt wysunięty przez członków Oddziału Towarzystwa Historycznego z kręgów oświaty i kultury, uczczenia 670-lecia założenia Nowego Sącza, jako że jubileusz 650-lecia nie mógł być zaakcentowany, ponieważ przypadał na lata okupacji. Trwałym zaznaczeniem tego jubileuszu w pamięci społeczeństwa i potomnych miał być pomnik Adama Mickiewicza, wzniesiony też w miejsce jego poprzednika zniszczonego przez Niemców.

Do konkursu na projekt tego pomnika przystąpili twórcy: prof. **Jerzy Bandura**, **Jerzy Beres**, **Stanisław Rzecki** - wszyscy z Krakowa, Mieczysław Bogaczyk z Nowego Sącza i **Antoni Biłka**, z Bielska-Białej.

Każdy z nich przedstawił gipsowy projekt pomnika w proporcji 1:10 oraz jeden jego fragment w wielkości naturalnej.

Długo trwał tok decyzyjny wyboru projektu pomnika, ale też długo gromadzo-



Członkowie Tow. Historycznego Oddz. w Nowym Sączu tworzący część Komitetu Obchodów 670-lecia założenia Nowego Sącza. Od prawej: Piotr Krzykalski, Henryk Dobrzański, NN, NN, Roman Szkaradek, Emilia Piwońska, Leopold Cisoń.

no fundusze na wykonanie tego dzieła. Np. w prasowej notatce z grudnia 1961 r., podano: "Staraniem Komisji Kulturalno-Oświatowej przy Radzie Nadzorczej nowosądeckiej PSS została wystawiona w dniu 14 grudnia w sali DKK opera Stanisława Moniuszki "Halka" (jako spektakl w ujęciu operomontażowym). Wystąpili soliści Opery Śląskiej i Krakowskiej. Całkowity dochód przeznaczy PSS na budowę pomnika Adama Mickiewicza". Ustalono, że pomnik powstanie ze składek miejscowego społeczeństwa i dotacji Społecznego Funduszu Odbudowy Stolicy i Kraju.

W 1961 r. zapadła decyzja wzniesienia pomnika Adama Mickiewicza i do realizacji przyjęto projekt przedstawiony przez prof. Jerzego Bandurę (1915 - 1987). Urodził się on w Chabówce. Ukończył studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie kształcąc się w pracowni prof. **Xawerego Dunikowskiego**. Profesorem macierzystej uczelni mianowany został w 1977 r. Jego monumentalnymi pracami - przed przystąpieniem do tworzenia pomnika Adama Mickiewicza - były: rzeźba olimpijska - Londyn 1948, pomnik Kopernika w Chorzowie - 1949, kamienna struktura rzeźbiarska w formie ogromnych słupów z wrębami w kształcie głów rycerskich ustawiona w 1959 r. na polach Grunwaldu.

Pierwszy jego projekt pomnika przedstawiał Wieszczą w pozycji siedzącej. Nie zyskał on aprobaty Komitetu Organizacyjnego Obchodów Jubileuszu miasta. Drugi projekt przedstawiał Poetę w rozwianej pelerynie, z lirą w ręku, jako nawiązanie do

lirycznych jego utworów. Ten projekt pomnika przyjęty został do realizacji, choć nie wszyscy aprobowali nowoczesną jego bryłę, widoczną na przygotowanym modelu wielkości jednej drugiej pomnika, przy czym model głowy Poety przygotowany został w wielkości jeden do jeden. Cokół pomnika uzupełniać miały dwie płaskorzeźby alegorycznie przedstawiające piękno doliny Dunajca z kwitnącymi jabłoniami i dolinę Popradu bogatą źródłami mineralnej wody.

Do odkuwania w strzegomskim granicie kształtu pomnika zaprosił Jerzy Bandura trzech rzeźbiarzy, a do wykonania jego postumentu trzech kamieniarzy. Praca nad pomnikiem trwała przez trzy miesiące lata 1962.

Głowę Adama Mickiewicza dla tego pomnika odkuwał sądeczanin Mieczysław Bogaczyk. Odkuł również płaskorzeźbę usytuowaną po prawej stronie cokołu.



Jerzy Bandura (pierwszy z prawej strony) i Mieczysław Bogaczyk przy odkutej głowie A. Mickiewicza. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum w N. Sączu reprodukcja Piotra Drożdżika.

Mieczysław Bogaczyk (ur. 1911 r.) swe rzeźbiarskie umiejętności zdobył w krakowskiej ASP u prof. Xawerego Dunikowskiego. Znany był już w środowisku sądeckim z wielu rzeźbiarskich dokonań. Brał udział w konkursie na pomnik Poety przedstawiając go z księgą w rękę, księgą która miała trafić "pod strzechy".

Wykuty na cokole pomnika napis głosi: "Adamowi Mickiewiczowi — Ziemia Sądecka. 1962". Usytuowany został w miejscu eksponowanym, u zbiegu Alei Wolności z plantami miejskimi.



*Projekt pomnika. Adama Mickiewicza wykonany
przez Mieczysława Bogaczyka*

Uroczystości jubileuszowe 670-lecia założenia miasta miały miejsce w dniach 3 i 4 listopada 1962 r. Na tę okazję skomponowany został przez dyrygenta orkiestry zakładowej ZNTK **Jana Waltera** specjalny hejnał. Uroczysty charakter odsłonięcia

pomnika Adama Mickiewicza, jakie nastąpiło w dniu 4 listopada, podkreślił występ 600 - osobowego chóru złożonego z wokalistów zrzeszonych w "Lutni" i "Echu", harcerzy, wojskowych oraz młodzieży szkół średnich Nowego Sącza, przygotowany przez działaczy kulturalnych - **Adama Plate** - prezesa PSS "Społem" i nauczyciela z Kamionki Wielkiej **Władysława Kurdziela**.



Pomnik Adama Mickiewicza w Nowym Sączu.

Fot. Piotr Drożdżik.



LISTY, OPINIE, DOKUMENTY, POLEMIKI

Irena Styczyńska

Józef Szujski (1834-1883) spędził część swego dzieciństwa, lata młodości, a i dojrzałe u swego wuja Piotra Szujskiego - właściciela majątku w ziemi sądeckiej - Zbyszycy.

Józef Szujski tak przylgnął do Zbyszyc, że w jego sztambuchu znalazło się wiele rysunków i wierszy o nich tworzonych. W roku 1857 spędził w Zbyszycach okres żałoby po matce. Tutaj też przygotowywał się do doktoratu, tutaj zawarł związek małżeński z Jolantą Jełowiecką w 1861 r.

Ze Zbyszyc odbywał dalsze i bliższe podróże po okolicy, spotykał się z opowiadaniem o tej ziemi i pod ich wpływem tworzył m.in. poemat *Pan Rożnowa* osnuty na dziejach XIV-wiecznego zameczku w Rożnowie, także legendę tatrzańską *Święta Kinga*, którą warto przytoczyć w przededniu kanonizacji Pani Ziemi Sądeckiej.

Józef Szujski

ŚWIĘTA KINGA

*Legenda
Tatrzańska.*

*Przez polskie łąny, przez zieleń niw,
Cóż to ucieka, goni aż dziw,
Czy to przed burzą, przed burzą czarną,
Owieczki do dom trwożne się garną?*

*Oj! nie owieczek białych to ślad,
Pomiędzy które grom niebios padł;
Królowa Kinga - to, biała, święta,
Wiedzie do Węgier swoje dziecięta.*

*A za królową, za Kingą tuż,
Czy to nadciąga sto wrogich burz?
Czy to dzień sądny świta dla ziemi
Z krzykami piekła, z łuny krwawemi?*

*Oj! to nie burza, nie chmurzysk cień,
Ale na Polskę sądny to dzień:
Bo po raz pierwszy, czarnemi szyki
Szarańczą straszną spadł Tatar dziki!*

*Miotły na niebie i szczerą krew;
Psy wyją, świszczą wierzchołki drzew,
A po rosistej, zielonej łące
Dzwony pływają na gwałt bijące.*

*Tam od Krakowa nadlata gwar,
Jęk słyhać, widać płomieni żar,
Krzyk mordowanych, jęk sromoconych
Leci po niwach, niwach zielonych.*

*Zewsząd się ludek przygarnia wraz:
- Królowo Kingo ratuj ty nas!
A biała Kinga powiada święta:
- Za mną, do Węgier, moje dziecięta.*

*W wstążkę jej szaty wiatr niebios wiał,
U ust się uśmiech anielski śmiał:
Laseczkę białą trzymała w dłoni,
A z dyamentów wieniec u skroni.*

*Gonią dzień cały i całą noc,
A coraz bliższa tatarska moc;
A coraz bliższe kopyt tententa:
- O ratuj, ratuj nas Kingo święta!*

*Świt ranny błysnął, straszliwy brzask,
Słysząc już, słysząc Tatarów wrzask,
Słońce się szybko świeciło krwawą
Za dymem zgliszczów, kopyt kurzawą.*

*Ku białej Kindze, by wiatrem gnan,
Chyli się ludu szeroki łan,
I w jęk boleści pani się skarży:
- Ratuj nas, Kingo - oto Tatarzy!*

*Królowa Kinga wstrzymała bieg,
Z szaty bieluchnej, jak ranny śnieg,
Niebieską wstążkę na wiatr rzuciła,
Aby w ucieczce jej nie wadziła.*

*Wstążka rzucona. - O ! cudze cud,
Między Tatarów i Boży lud
Wpadła szeroką, szumiącą rzeką,
I gdzieś w kraj świata leci daleko.*

*Zawyła dzicza i w męty wód
Leciła wściekła, gdzie Boży lud;
A lud on Boży nogą skrzydlatą
Za białą Pani pośpiesza szatą.*

*Lecz już przez fali szumiącej toń
Leci Tatar szalony koń;
Leci - dosięga ludek ubogi:
- O ratuj Kingo - tam Tatar srogi!*

*I oto Kinga u ludu głów,
Jako Stróż Anioł stanęła znów,
I z drobnej dłoni laskę rzuciła,
Aby w ucieczce jej nie wadziła.*

*Laska z jej ręki - o nowy cud!
Między Tatarów i Boży lud
Stanęła lasem gęstej świerczyny,
A las się rozrósł w świata kończyny.*

*Zawyła dzicza i w lasów cień
Pędziła naprzód przez długi dzień,
A ludek Boży borów odmětem
Stapał za śladem królowej świętym.*

*Lecz już się skończył świerkowy las,
- O pani Kingo! ratuj ty nas!
Bo krok za krokiem czarnemi szyki
Już nas dogania Tatarzyn dziki!*

*I oto Kinga, Archanioł Stróż,
Przed swoim ludem stanęła już:
Koronę z głowy rzuciła miłą,
Aby nic w drodze jej nie wadziło.*

*Korona jasna, o cudów cud!
Między Tatarów i Boży lud
Stanęła Tatrów czarną opoką,
I gdzieś pod niebo wzrosła wysoko.*

*Stanęła - stoi, jak wielki mur,
Świejącym szczytem dotyka chmur,
I słońca promień, jak tęcza, wita
Nieprzełamana już i nieprzebyta.*

*Za temi skały, jak wichrów wiew,
Skonał bezsilnie Tatarów gniew:
A biała Kinga, królowa święta,
Wiodła do Węgier swoje dziecięta.*

*Lecz na pamiątkę świętych jej dróg,
Niebieską rzekę zachował Bóg
Wstęgą się sunie, jasną, świetlaną,
I nosi zdawna Dunajca miano.*

*I na pamiątkę świętych jej dróg,
Lasy świerkowe zachował Bóg,
A drzewa w lasach proste jak świeczka,
Jako królowej Kingi laseczka.*

*I na pamiątkę korony jej,
Bóg dał, że dotąd ziemi lśni tej,
Że u jej skroni poważnej, białej,
Dyadem Tatr błyszczą wspaniały.*

*A gdy na Tatrów lodowy szczyt
Wejdzie rumiany poranku świt,
To się rozbłyszczą, jak dyamenty
W koronie Kingi, królowej świętej.*

*A choć czas polskiej świetności zgaś,
Toć ta korona stoi jak głaz,
I dawne czasy spomina światu
Blaskami tęczy, blaskiem szkarlatu.*

*I mówi światu, jak Polski stróż,
Że przetrwa gromy zawistnych burz,
I patrzeć będzie jak w Kingi czasach
Na rozpierzchniętych wrogów po lasach.*

*Bo kędy święta prowadzi lud,
Tam ci rzecz każda, zmieni się w cud;
A dłoń pobożna k' ludu obronie
Zbudzi głaz, drzewa i wody tonie.*

SPIS TREŚCI

Jacek Zaremba	
• KSIĘŻNA - BŁOGOSŁAWIONA - ŚWIĘTA	3
Leszek Migrała	
• STARY SĄCZ – RYS HISTORYCZNY	10
Opracowanie: Wincenty Gawron	
PAMIĘTNIK JÓZEFA STRUGA "ONGI W LIMANOWSZCZYŹNIE"	17
Małgorzata Nowak	
WIERSZE	48
Jerzy Giza	
PATRIOTYCZNY BUNT	
W 32. PUŁKU PIECHOTY OBRONY KRAJOWEJ "NEU SANDEZ"	54
Józef Bieniek	
WOJENNE LOSY SĄDECZAN	59
Irena Styczyńska	
POMNIKI ADAMA MICKIEWICZA W NOWYM SĄCZU CZ. II	78
LISTY, OPINIE, DOKUMENTY, POLEMIKI	87

W najbliższym numerze między innymi:

- Pomniki przyrody Beskidu Sądeckiego
 - W górach najwyższych – rozmowa z Walentym Fiutem
-